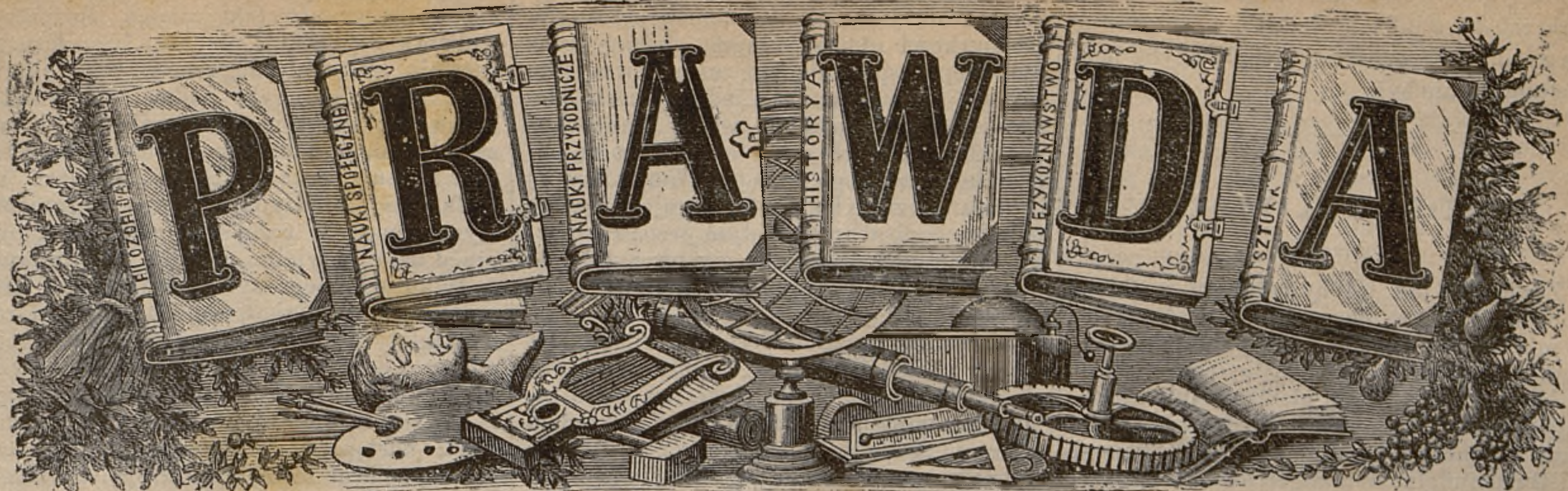
№ 12. Warszawa, dnia 23 (11) Marca 1889 r. Rok IX.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

Szan. abonentom kwartalnym przypominamy zbliżający się termin przedpłaty i prosimy o wczesne nadsyłanie jej dla uniknięcia przerw i opóźnień w odbiorze **Prawdy**.

POLITYKA.

WEHRLOS—EHRLOS.

Rząd niemiecki nałożył na swój naród nową kontrybucyę wojskową: 12 milionów marek dla potrzeb artyleryi. Miła ta nowinka musiała przejść przez sejm, w którym naturalnie wywołała opór ze strony postępowców i demokratów. Najenergiczniej wystąpił przeciwko niej Richter, dowodząc, że szruba podatkowa wkręciła się już do ostatniego zwoju, że każdy niemiec płaci obecnie od urodzenia przeszło 200 marek państwu, że rząd, potęgując uzbrojenia, roznieca w Europie trwogę a własnych poddanych rujnuje. Nie chodzi nam w tej chwili o rozprowadzenie szczegółami i rozbiór tych twierdzeń, które zresztą są najzupełniej słuszne, ale o maleńką a niezmiernie charakterystyczną lekcyę etyki, którą przy tej sposobności dał przeciwnikom minister wojny. Zawierała się ona w dwu wyrazach, tak wymownych, że należałoby je głęboko wyryć a przynajmniej gwoździami przybić dla przyszłych pokoleń.

Niejednokrotnie już zwracaliśmy uwagę na dziwny język publicznych przemówień Bismarka, dotąd w Europie niesłyszany, a będący aż wstrętnie szczerym wylewem najtajniejszych mętów duszy ludzkiej. Jakkolwiek względy siły, przewagi fizycznej, chciwości, lekceważenia ideałów moralnych były po wsze czasy źródłem politycznych pobudzeń, nigdy jednakże żaden mąż stanu nie odsłaniał ich z cynizmem, a przynajmniej nie nazywał jedynemi sprężynami swych działań. Bo i polityka ma swój wstyd, swoją przystojność. Dla usprawiedliwienia się przytacza ona dobro państwa, religii, moralności, cywilizacyi, jakieś zasady wyższego rzędu. Kanclerz niemiecki wszystkie te bożyszcza rozbił i wyrzucił a na ich miejsce postawił tylko samą, nagą siłę fizyczną. Każda jego mowa, dotycząca stosunków międzynarodowych, snuje się z jednego pasma: niemcy napadną lub nie napadną kogoś, ktoś napadnie lub nie napadnie ich; to państwo ma tyle a tyle wojska, więc może napaść sąsiada, tamto ma tyle, więc nie może; słowem, tylko rachunek prawdopodobieństwa napadów i ich rezultatu. Słuchając go, zdaje się, że mówi do nas jakiś *sachem* dzikiego plemienia, który drwi z pobudek moralnych, a nawet ich nie odczuwa. Są one mu zupełnie obce, obojętne, niepotrzebne. To zapewne miał na myśli Geffcken, kiedy oświadczył, że—według niego — Bismark jest człowiekiem, „pozbawionym rysów szlachetnych."

Dwadzieścia kilka lat apostolstwa takiej brutalnej nauki nie mogło pozostać bez wpływu i skutku. Powoli uczniowie kanclerza przyswoili sobie jego odwagę, szczerość i cynizm. Właśnie minister wojny, odpowiadając Richterowi na jego skargi o nadmiar wydatków wojennych, wyrzekł słowa, w których streszcza się cała etyka pruska: *wehrlos—ehrlos*, to znaczy: kto nie ma broni, nie ma czci. Włosy na głowie powstają, gdy się słyszy takie słowa, wygłoszone jako reguła z wysokiego stanowiska. Bo ni mniej ni więcej zasada ta skazuje na hańbę już nie jednostki, ale całe narody, które nie są uzbrojone. Wobec niemców słowacy, słowieńcy, czesi, po części zaś szwedzi, szwajcarowie, holendrzy itd. są to gromady, niemające prawa do honoru, czci, godności, gdyż nie posiadają wcale lub dostatecznej ilości karabinów i armat. Czy podobna wymyślić dogmat potworniejszy? Czy on nie wydałby się barbarzyńskim nawet botokudom, buszmanom i czepewajom? Gdzie przy nim jest miejsce dla cywilizacyi, chrześciaństwa, wreszcie dla uczuć podnioślejszych? Może on być jedynie hasłem zupełnej dzikości.

I niewątpliwie niemcy stan taki, przynajmniej w obrębie stosunków moralnych, sprowadzili. Co oni głoszą otwarcie i z wysokich miejsc w swej polityce, to wymaga niemal pierwotnych a w każdym razie dawno minionych warunków kultury. Olśnieni blaskiem i tryumfami mistrza nie widzą oni a za nimi inne narody tych szkód, jakie on etyce wyrządza, tych ciosów, jakie cywilizacyi zadaje. Dopiero kiedy on ustąpi i przestanie hypnotyzować współczesnych, zobaczą, dokąd ich zaprowadził. Człowiek zwyczajny jest barbarzyńcą obciągniętym powłoką oświaty; powłokę tę kult Bismarka starł lub wyżarł, wylazły z pod niej wszystkie grube popędy, które dziś obnażają się śmiało, ale kiedyś uczują potrzebę przywrócenia pokostu. Wogóle dla niemców wypadnie straszny bilans kultury po śmierci Bismarka, *passiva* przewyższą w nim tak znacznie *activa*, że długie lata odrobku nie wyrównają różnicy.

Gdyby tylko dla niemców! Na nieszczęście zaraza moralna rozlała się po całej Europie, która również powtarza bezmyślnie: *wehrlos—ehrlos*, chociaż — jak np. we Włoszech — już nietylko pod nią dziczeją, ale mrą z głodu masy biedaków. Słowa, rzucone z mównicy przez ministra pruskiego i oklaskane przez chór landratów, jutro odezwą się w parlamencie włoskim lub austryackim, echo ich odbije się w najdalszych zakątkach, tak jak odbiły się echa filozofii kanclerza, rozprawiającego o napadach, większych i mniejszych maczugach, mocniejszych i słabszych pięściach, o wszystkich tych czynnikach, które dziś jedynie

rozstrzygają los świata. I ta sama Europa śmie mówić o ludach dzikich i naigrawać się z ich barbarzyństwa! Nigdy chyba bezczelniejszą nie była.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zdaje się, jak gdyby jedynym wątkiem polityki były w obecnej chwili skandale. Tem mianem, chociaż niezupełnie zasłużonem nazwano naprzód ustąpienie z tronu Milana. Ale na tem się nie skończyła awantura serbska: regenci bowiem drą się z członkami gabinetu i wojskowymi. We Francyi mistrz skandalu, Boulanger, dał nowe przedstawienie w Tours, gdzie jeszcze raz zwymyślał rząd i Izbę, zachęcając monarchistów i republikanów, ażeby się skupili około niego i wytworzyli coś, co nie byłoby ani Rzeczpospolitą, ani monarchią, ani jednowładztwem, ani parlamentaryzmem, a jednakże organizacyą władzy silną. Gazety francuskie utrzymują, że w tej mowie kret wyszedł cały na wierzch. Być może, ale jeśli to ma znaczyć, że wypowiedział jakąś teoryę logiczną, zazdrościmy im pojętności. My bowiem wcale nie rozumiemy, czego ten jegomość chce, naturalnie przypuszczając, że wylał swe myśli do dna. Wypiera się absolutyzmu a jednocześnie uderza na parlamentaryzm, przysięga na konstytucyę republikańską a usuwa z niej przedstawicielstwo narodu. A więc: albo kłamie, albo ma zamęt w głowie.

W Niemczech narodziły się aż dwa skandale. Naprzód brat byłego ministra spraw wewnętrznych, Puttkamer w mowie na pewnem zebraniu oświadczył, że ojcem edyktu, którym wypędzono 30,000 polaków z Prus, jest sam kanclerz i że pomagający mu w tem dziele a usunięty przez Fryderyka III minister nie podzielał wcale tej polityki. A jednak jej w sejmie bronił i za swoją uznał?

Z tego powodu *Germania* zapytuje, czy minister konstytucyjny ma prawo występować pod maską i czy tą dwulicowością nie wykroczył przeciwko obowiązkom swego stanowiska? Naturalnie *Nordd. Allg. Ztng* zaprzecza tej legendzie i pryska błotem w oczy tym, którzy jej wierzą i którzy jej głoszą.

Drugim skandalem było zawieszenie wydawnictwa bardzo rozpowszechnionej a od 30 kilku lat istniejącej gazety *Volkszeitung* za artykuł o Wilhelmie I na mocy prawa o socyalistach. Dziennik ten socyalistycznym nie jest, ale jest demokratycznym, Bismarkowi nieprzyjaznym, obecnej reakcyi nieprzyśpiewującym, a nadewszystko ma na swej przeszłości jeden grzech bardzo ciężki: oto podczas wojny francusko-pruskiej zasłużył sobie na szczególną pochwałę ówczesnego następcy tronu a później cesarza Fryderyka, który swoje dla niego uznanie zapisał w wyklętym przez Bismarka pamiętniku. Samo to wystarczyłoby do podcięcia gazety przy jakiejkolwiek sposobności.

Niewolną również jest od skandalów i Anglia. Po olbrzymim, wynikłym z procesu Parnela przeciwko *Timesowi*, wyrastają teraz mniejsze. Zaczęto się dobierać do tajemnic torysów i wywłóczyć na światło dzienne ich szacherki w sprawie irlandzkiej. Gdy zaś świeżo stracili przy wyborach na rzecz liberała dawno posiadany okręg, gladstoniści coraz wyżej podnoszą głowę. Jeden z nich zapowiedział nawet w Izbie ciekawe „odkrycia" o postępowaniu Salisburego i jego towarzyszów. Gorszące zatem widowisko jest niewątpliwem.

Pierwsze też sygnały skandalów odezwały się w Rumunii, skierowane przeciwko królowi. Tu ruch odbywa się na podkładzie narodowym i ma cel zbudzenie nienawiści przeciwko Hohenzollernowi — niemcowi. Abdykacya Milana i ciągle zachwiano stanowisko Koburga podsycają wrzenie.

Najdalej wszakże a zgodnie z temperamentem narodu poszły skandale na Węgrzech: kilku posłów w sejmie spoliczkowało się, jeden strzelił i ranił ciężko przeciwnika, a wypadek ten znowu rozdmuchał awantury uliczne. Tisza, który jest zasadniczą przyczyną rozruchów ledwie uratował się ucieczką. Prawdopodobnie będzie on musiał policzyć się nietylko z wolą korony i większości sejmowej.

Niewiele brak, ażeby przeciwko Crispiemu wybuchły podobne bunty. Słowem, cały niemal widnokrąg Europy obciągnął się chmurą skandalu.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ZŁUDZENIA DEMOKRATYCZNE.

VI. Ogólny zarys dalszego biegu.

Jak czytelnik mógł zauważyć, w naszych poszukiwaniach usiłowaliśmy zająć stanowisko możliwie przedmiotowe. Trzymaliśmy się wciąż gruntu faktycznego. Rozpatrywaliśmy czynniki i przebieg tegoczesnego rozwoju ekonomicznego oraz jego skutki w zakresie dobrobytu oddzielnych warstw ludowych; wreszcie zatrzymaliśmy się nad zagadnieniem, dokąd on zmierza. To ostatnie pytanie próbowaliśmy rozwiązać na podkładzie międzynarodowego organizmu wymiennego. W całej swej pełni wystąpiła przed nami ta wielka prawda, że programy są tylko odbiciem życia, oraz druga, niemniej ważna, mianowicie, że kiedy wśród rozwiniętych prowincyj międzynarodowego obszaru demokratyzm jest przedewszystkiem wytworem zawikłania ekonomicznego i hasłem nawskróś klasowem, w innych bywa następstwem istnienia w społeczeństwie pewnego fermentu antropologicznego, który wydobył się nie z łona „ludu," lecz warstw wyższych.

Artykuły poprzednie były poświęcone wykazaniu, z jaką żywiołową koniecznością warstwy, oparte na drobnej własności i drobnej uprawie, pogrążają się w coraz większej nędzy, oraz jak w krajach mało rozwiniętych przemysłowo nie ściele się przed niemi żadna droga zarobkowania krom zwrócenia się do rolnego lichwiarza, i wygórowanego przepłacenia ziemi. I właśnie teraz wstaje przed nami w całem swem olbrzymiem znaczeniu pytanie: czy jednakże nie można byłoby, w jakikolwiek sposób, przełamać tego biegu rozwojowego, przynajmniej chociażby w pewnym zakresie? Takiem jest zdanie niektórych demokratycznych programów społecznych. Naturalnie, mamy tu na uwadze nie owe dążności, które sądzą, że zdołają zupełnie odwrócić rozwój społeczny według swego widzimisię. Raczej myślimy o tej nielicznej grupie istotnych przyjaciół „ludu," która pojmując całą konieczność dziejowego rozwoju ekonomicznego wraz z całą bezsilnością woli ludzkiej wobec żywiołowo idącej sprawy, póki ta ostatnia nie wysnuje sama z siebie niezbędnych pierwiastków własnej zagłady, rozstała się z złudzeniami zdawkowego demokratyzmu, lecz jednocześnie chciałaby usunąć cierpienia, wynikające z masowego wywłaszczania warstw ludowych bez stwarzania odpowiednich źródeł zarobkowania. Wszak wśród czynników ewolucyi społecznej znajduje się psychiczny, na który między innemi składa się świadomość ludzka. Czyż więc drogą pobudki prywatnej lub działania prawodawczego nie daloby się przystosować drobnej uprawy i wogóle produkcyi do wymagań nowoczesnych metod wytwarzania

U KOŃCA.

Już od wielu lat wszystko dokoła Izydora śpiewało jedną tylko zwrotkę, zwrotkę śmierci. Gdy wchodził do lasu, las mu ją śpiewał; buki i dęby, ująwszy się za konary, kołysały nimi nad jego głową, a jeden prawił:

— Jesteś stary, włóczysz jeszcze nogami, nie sprzykrzyło ci się! Co za upór, dziwactwo i niedorzeczność! Zastanów się sam nad dolą swoją... Gdybyś to jeszcze drzewem był, nogami w ziemię wrósł, pniem się rozparł grubym, konarami w boki ujął, a liśmi obsypał, ha! miałbyś racyę tak długo żyć, bo stałbyś wciąż w jednem miejscu, stał i stał, póki by cię łotr jaki nie zwalił lub póki byś nie zgnił. Ale łazić tak wciąż po świecie..., co za obrzydliwość!

Sosny ze szczytów słały mu tylko te słowa:

— Czemu się, stary, nie położysz sam we mchach i paprociach, i nie uśniesz; my cię nie obudzimy.

Gdy Izydor siadał nad brzegiem rzeki, śpiewała mu ją rzeka; fala, płynąca pod jego stopami, szemrała:

— Oddal się, stary, oddal! Minął czas, kiedy cię do łona mego tuliła, krew gorącą studząc; dziś mój chłód zabiłby cię. Idź sobie!

A gdy nie odchodził, gadały doń trzciny i łozy:

— Nie wierz jej, obłudnicy: odpycha cię, by więcej przynęcić; idź do niej śmiało, a ona cię przyjmie i od siebie nie puści, jak byś ślubem z nią się związał.

Ptaki, zlatując na wiosnę, witały Izydora ze zdziwieniem, a jesienią wołały do niego, rozciągając sznury odlotne po niebieskich szlakach:

— Czas na ciebie! Chwyć się i leć z nami, pokażemy drogę.

Najgorzej dokuczała mu ziemia, gdyż Izydor, mając kark i głowę nachylone, wciąż na nią patrzeć musiał i ujść nie mógł jej skargom żałosnym:

— Za długo po mnie chodzisz — wymawiała mu—męczysz mnie, oddaj, coś wziął ze mnie.

A gdy z trudem głowę podnosił i oczy zarzucał pod strop nieskończoności, stara wpadała w gniew i wymyślała mu:

— Nie ujdziesz złodzieju, niecnoto! Wszystko mi oddasz, cały tu wrócisz, źdźbła ci jednego nie daruję.

Cała natura przyzywała go echami łkających dzwonów i pozgonnych pieśni, brzmiących na pogrzebie milionów istot, które po krótkiej chwilce życia oddawały ciała swe do wielkiego składu materyi, gdzie w nowem ułożeniu ich cząstek wnet trysnąć miała nowa forma życia.

I ludzie rokowali mu już śmierć bliską. Tłumy czczące go, gdyż każde tchnienie zmęczonego ciała i każdą ze swych półsennych już myśli składał jeszcze na ołtarzu ich dobra — z niepokojem głębokim oczekiwały chwili gdy go stracą. Czy stracą go? A może z krainy duchów prześle im głos swój i nocą szeptać będzie rady swe zacne i pociechy tkliwe? Niewiasty modliły się o zbawienie jego duszy, dzieci — by został świętym na pięknym obrazku, przed którym uklęknąć by można i prosić: módl się za nami!

A on? Co czuł i co myślał, czego żałował i czego się spodziewał, patrząc w czarną otchłań grobu, który mu natura kopała?

Może miał troski, lecz nie powierzał ich ludziom, którzy na twarzy jego, zwiędłej i pomarszczonej, nic, prócz pogodnego spokoju, wyczytać nie mogli. Gdy młodzi próbowali przeniklliwem okiem wyłowić w mętnych głębinach jego oczów tajemnice starości, on je pokrywał uśmiechem; gdy go

i uspołecznianie pracy, kreślone w sposób żywiołowy a bolesny przez rozwój ekonomiczny, zastąpić postępem łagodnym, świadomą ewolucyą? Zagadnienie to jest stosunkowo mniejszego znaczenia w takich krajach, jak Anglia, gdzie produkcya przerabiająca pochłania znaczną część przyrostu ludności bezrolnej, resztę zaś unosi wychodźtwo. Lecz w inych prowincyach międzynarodowego obszaru wymiennego, gdzie zbywa w życiu ekonomicznem na pierwiastkach organizacyjnych, otchłań zaś najokropniejszej nędzy porywa całe gromady, pytanie powyższe nabiera szczególnej wagi. Z tego powodu przyjrzymy się niektórym zalecanym środkom.

Zaczniemy od stowarzyszeń wytwórczo-współdzielczych. Panuje mniemanie, iż zapomocą wykazywania pożyteczności tego urządzenia da się skłonić umysły odpowiednich warstw do porzucenia dotychczasowego jednostkowego bytowania wytwórczego. Bywają przytaczane dobroczynne skutki tego rodzaju przedsiębiorstw, zresztą nader nielicznych, tak, iż wszelkie próby w tym kierunku dadzą się zrachować na palcach. Pod tym względem stowarzyszenie współdzielcze rolne w Assington (hr. Norfolk) cieszy się zwłaszcza historyczną sławą. Pewien właściciel ziemski wydzierżawił kilku robotnikom 60 akrów gruntu oraz pożyczył względnie znaczną kwotę, za którą po dodaniu niewielkiej jeszcze sumy pieniężnej ze strony stowarzyszonych zakupiono potrzebne narzędzia i inwentarz. Po upływie kilku lat spłacono już długi. Akcya każdego stowarzyszonego w r. 1830 wynosiła tylko 3 funt. sterl., tymczasem w 1854 r. doszła już do 50. Powodzenie właśnie tego stowarzyszenia majaczy przed oczami wielu przyjaciół włościanina; naturalnie, że rzucają oni ten obraz na tło szersze — powszechnego przeprowadzenia podobnych urządzeń, doskonałego samorządu gminnego, taniego kredytu i związków handlowych dla złamania potęgi przekupniów. Przeciw dowodzeniom, że tego rodzaju środki mogą wysoce podnieść dobrobyt i umysłowość warstwy włościańskiej, nic nie mamy do powiedzenia; sami nawet gotowi jesteśmy przytoczyć takie przykłady, jako świadectwo wyzysku siły roboczej na folwarkach. Również zgadzamy się na punkt drugi, mianowicie, iż współdzielcze stowarzyszenie rolne, pozwalając na zastosowanie udoskonalonych narzędzi oraz zrzeszenia pracy, tem samem zwiększy wytwórczość, dochody i odporność we współzawodnictwie z wielką własnością ziemską na rynku płodów rolniczych. Widzimy jednak pewne zarzuty teoretyczne z powodu nieuwzględniania anarchii rynku itd., lecz zapuszczać się w ich rozbiór nie uważamy za stosowne, ponieważ samo życie postawiło wielekroć dotkliwszą przeszkodę — trudność osiągnięcia podobnych celów. Póki pozostajemy w dziedzinie oderwanych roztrząsań, nic nam nie zawadza oprzeć się na fakcie, iż można umysły ludzkie przekonać o pożyteczności każdego dobrego celu. Inaczej wszakże wygląda sprawa w rzeczywistości, gdy zbliżymy się do wieśniaka z jego widnokręgami bytowymi, wynikającymi z właściwości drobnego posiadania i uprawy. Widzieliśmy zdania o chłopie francuskim. „Jest on chytrym i przebiegłym; w sztuce pieniactwa zwycięży wszystkich Talleyrandów, ale mimo to jest niepoprawnym rutynistą.“ Owa rutyna nie jest bynajmniej wynikiem natury ludzkiej, lecz — jakeśmy rzekli — tworem warunków ekonomicznych, wyganiających z chaty wszelką myśl, nie związaną bezpośrednio z utrzymaniem. W jakiż teraz sposób przedrze się do osady chłopskiej myśl o stowarzyszeniach? Sama przez się nie powstanie, bo wszystko staje temu na zawadzie. Podobnie nieliczne książeczki, odezwy i czasopisma zaledwie przedostają się na wieś, lecz wpływ ich nie może być wielkim, gdyż, że użyjemy wyrażenia Schaefflego, stosunki własności czynią z głowy chłopa warownię „antykolektywistyczną.“ Widnieje jedna tylko droga — prawodawczego przeprowadzenia podobnych ideałów. Mówiliśmy już o stanowisku, które zajęło państwo tegoczesne w sprawie taniego kredytu. Tembardziej można to samo powiedzieć o stowarzyszeniach współdzielczych rolnych, ile że są one hasłem jeszcze nader nieprzychylnie witanem. Rząd, jak dobitnie powiedział Thiers w r. 1848, gotów dać pewną sumę na takie cele, ale tylko po to, ażeby ostatecznie wybić z głowy marzycielom podobne rojenia. Wypada więc chyba poczekać owej chwili, gdy warstwy ludowe, stwarzane i organizowane przez nowoczesne metody produkcyi, dojdą do takiej potęgi, iż przez życie powołane zostaną do odpowiedniego przekształcenia ustawy prawno-społecznej i wtedy staną oko w oko z kwestyą istniejącej uprawy drobnej. Zresztą musimy wspomnieć o potrącanem już prawie Torrensowem, znajdującem oddanych sobie rzeczników w radykalizmie indywidualistycznym Francyi. Zamiana ziemi na rodzaj pieniędzy w rzeczy samej zdolna umożliwić przeprowadzenie na wsi akcyjnych stowarzyszeń rolnych — lecz drogą wyzucia rutynistów włościan i wprowadzenia natomiast ruchliwego żywiołu kapitalistów drobnych. Takie jednak rozwiązanie zgoła nie odpowiada roztrząsanym życzeniom. Podobnie rzecz się ma ze środkiem daleko poważniejszym — z unarodowieniem ziemi, tj. zamianą prywatnej własności ziemskiej na państwową z warunkiem wypłacania przez uprawiacza odpowiedniej renty. Tego rodzaju zmiana tytułów własności, nie znosząc na dzisiaj drobnej, jednostkowej uprawy, pozwoliłaby wszakże państwu przeprowadzać w przyszłości reformy w kierunku wymagań produkcyjnych, zwiększając zaś dobrobyt, a z nim szerokość widnokręgów umysłowych, tem samem przygotowywałaby grunt dla rozwojowego powstawania współdzielczości rolnej. Idea powyższa, zrodziwszy się jednocześnie w Ameryce i Anglii, obecnie szybko szerzyć się zaczęła w Szwajcaryi i w Niemczech. Jest ona jednak zrozumiałą tylko dla najmitów wiejskich, albowiem dla osad rolnych oznacza ona wywłaszczenie i likwidacyę. Co jednak ważniejsza, jeżeli w poprzednim projekcie mieliśmy jeszcze jako tako do czynienia z pobudką prywatną, teraz zupełnie musimy zaprzeczyć przydatności tego czynnika. Unarodowienie ziemi, które w normalnych warunkach może odbywać się drogą wykupna dobrowolnie sprzedawanych gruntów, koniecznie żąda wdania się w tę sprawę władzy prawodawczej. Wiemy już co to oznacza.

Po za tymi nielicznymi planami, które, raz urzeczywistnione, otworzyłyby możliwość stałego polepszenia nadal dobrobytu wiejskich mas ludowych, mamy inne, jedynie obracające się w kółku tych samych stosunków bez wyjścia. Lecz widzieliśmy, że o ile cel trwały ma zostać istotnie dopięty, potrzebuje on powagi prawodawczej, co znowu jest możliwem przy przeniesieniu środka ciężkości państwowo-polityczncgo na grupy ludowe, uzdolnione przez życie do czynnego udziału w zorganizowaniu odpowiedniejszej tegoczesnym metodom produkcyi ustawy prawno-społecznej. Słowem, wobec pytania, czy niepodobna znaleźć na dzisiaj jakichś trwałych środków polepszenia bytu włościańskiego, musimy odpowiedzieć z całą stanowczością, że nic widzimy nic podobnego, gdyż zwykle doradzane albo nie wybiegają po za niesienie ulgi pewnej drobnej grupie i w zakresie 1—2 pokoleń lub wreszcie, jakkolwiek oparte zostały na trwalszej postawie, nie wywalczają dla siebie w społeczeństwie uznania z braku odpowiednio dojrzałych żywiołów czynnych, włościaństwo bowiem samo wsku_

---

pytali, co sądzi o świecie pośmiertnym, odwracał ich myśli, mówiąc: „tajemnicę śmierci posiądzie ten z was, który uczyni życie swoje użytecznem.“

Dnia pewnego uczuł Izydor, iż sprężyna jego życia rozkręca ostatnie zwoje i że lada chwila ruch jej ustanie, a myśl jego umknie kędyś, na falach eteru zadrży chwilę i w nieruchomość się rozpłynie. Ah! ah! w nieruchomość, w ciszę, w chłód!..

Więc gdy noc zgłuszyła ziemskie, wołające nań żałobnie głosy i skleiła powieki nad oczami ciekawych ludzi, on usunął się w miejsce ciche i puste, gdzie mógł czuć się samotnym, gdzie nikt pochwycić nie mógł jęku bólem z ust jego wydartego lub obaczyć łzy z gasnących oczu ściekłej. Wówczas to myśli swej kazał wstecz latom przeszłym biegnąć i zwołać na pożegnanie—ludzi, obrazy, chwile...

Gdy nieruchomy czekał na nie, pozwalając się pieścić lekkim powiewom nocy, zdało mu się, iż słyszy echo muzyki, czy śpiewu, płynące zdaleka. Więc przypomniał sobie, iż nieraz w życiu swojem roił o przestrzeni jasnej i ciepłej, za gwiazdami ukrytej, skąd sądził, iż niekiedy dźwięki go dolatują. Raz, naprzykład, w chwili smutku i zwątpienia, słuch jego naprężony ułowił słowa:

— Tyś nie był w liczbie żywych jeszcze, gdy myśmy światłem naszych myśli i ciepłem uczuć wypełnili te ciche przestworza. My, duchy zgasłe, w poczet szlachetnych cię wybrawszy, śpiewaliśmy ci pieśń narodzenia i nad kolebką twoją rozpalili zorzę poezyi, wiedzy, miłości, którą płonęliśmy za życia sami. O wybrańcu nasz! Ty nie umrzesz, a kwiaty myśli i uczuć, które w cieplem tchnieniu naszej zorzy na glebie gorącej twego ducha urosną, kwitnąć będą zawsze między nami, i nasienie ich powróci między żyjących. Będziesz nieśmiertelny!

On wówczas słuchał z rozkoszą tych ech dalekich, czerpiąc w nich zachętę do życia, lecz teraz, wobec groźnej ciszy śmierci, głowa starca wstrząsnęła się dumnie, a usta szepnęły:

— Myśli mi się mącą. W pustce i ciszy nocnej zdaje mi się, iż słyszę głosy, a sam jestem — sam pójdę.

Lecz nie był sam. Przed nim w rozświetlonym kręgu, trącając się ze szmerem harmonijnym, cisnęły się tłumy wspomnień jego życia. Oh! jakże czule je witał, czulej, niż matka dzieci, tulące się do jej łona! I one go witały, pieściły oczy, do uszu szeptały, przenikały do serca i piersi; pił je, oddychał niemi, płakał niemi, śmiał się do nich. Z ciemności mogilnych na świetlny obraz swego życia patrzeć!.. Ach!

Nie odlatywały już. Zwarły się w szeregi, skupiły w gromady i stały ciche, patrząc nań rzewnie smętnym wzrokiem przeszłości; w dłoniach plotły wieńce z twarzy widzianych przelotnie, z obrazów, które tylko musnął kiedyś wzrok jego, a dokoła nich oblatywały szumy gotowe wyśpiewać wszystko, co słyszał przed laty.

I było mu tak dobrze, gdyż choć nie patrzał już, choć głowę znużoną na piersi sparł, czuł jednak przy sobie całe swe życie, spoglądające nań z rzewnym smutkiem przeszłości.

Po chwilce rozwarł powieki i wzrok pamięci posłał tam, gdzie mgłą lat wielu przysłonięte kończyły się sznury wspomnień. Znalazł tam takie: raz, będąc chłopięciem malem, usnął na piersi matki, rękami jej opleciony i przyśniło mu się, że ona umarła; rozżalony i smutny, zbudził się wo łzach i prosił: „nie umieraj, żyj zawsze!“

— Umarła!— szepnęły usta Izydora, a pamięć dalej biegła.

Gdy chłopcem był młodym, lubił się modlić. W ciszy świątyń niewidzialne usta naszeptywały mu melodye, które były zbyt cudne, gdyż rozsadzały mu wzruszeniem piersi: sądził, iż go zabiją; pod mrocznemi

tek warunków drobnej uprawy, nie może się wybić po za ciasne szranki pojmowania spraw społecznych. Życie, lubo nie usuwa znaczenia psychicznych czynników świadomości, w danym razie zmniejsza je w najwyższym stopniu. Gdyby nasze życzenia osobiste cokolwiek znaczyły, głosowalibyśmy, zamiast parcelacyi itd., za wykupnem przez państwo upadających gospodarstw wielkich i małych i następnem wypuszczaniem w dzierżawę „ludowi“ z warunkiem, iż odpowiednio zorganizowane urzędy agronomiczne w każdej chwili mają prawo przeprowadzać stosowne zmiany w metodach gospodarowania. Naturalnie, temu środkowi nie przypisywalibyśmy większego znaczenia nad złagodzenie nędzy, sprawianej wśród włościaństwa w małorozwiniętych krajach przez bieg produkcyi nowoczesnej, póki życie nie wytworzy możliwości szerszych reform. Jest to wszakże głos wołającego na puszczy. Musimy jednak zauważyć, iż istnieje przecież możliwość takiego wyjścia. Międzynarodowy organizm wymienny nie ogranicza się tylko do Europy; do niego należą także i kolonie, dokąd od kilkunastu dziesiątków lat uciekają najdzielniejsze antropologicznie jednostki naszej części świata. Dodajmy do tego dziewiczą żyzność gruntów i niewyzyskane bogactwa przyrodzone, a zrozumiemy, że prędzej czy później przodownictwo ekonomiczne winno przejść z krajów północno-zachodniej Europy do kolonij, przynajmniej niektórych. Właśnie stoimy w przededniu podobnego przewrotu. W dziedzinie produkcyi rolnej Stany Zjednoczone zaczęły nas od niejakiego czasu zasypywać zbożem. Powstają tu dosłownie olbrzymie fabryki pszenicy i całe z kilkudziesięciu tysiącami ludności miasta młynarskie. Dawne stosunki produkcyi rolnej doznały krańcowego przewrotu. Ludzkość może oczekiwać głodu — z nadmiaru pól uprawnych. Mianowicie, produkcya zbożowa przechodzi w zupełnie nową erę — peryodycznych, jak w przemyśle przerabiającym, zaburzeń rynku z nieodzownemi rozszerzeniami i ograniczeniami zakresu uprawy, zależnie od tego, czy ceny wzrosły lub też spadają. Widzimy już coś podobnego w produkcyi amerykańskiego mięsa i sera, gdzie bieg przemysłowy porusza się wśród przepełnień rynku i następnego spadku przedsiębiorstw poniżej zapotrzebowania, tak, iż w ostatnim wypadku cena wytworów podnosi się aż do podwójnej wysokości z czasu przesilenia. Współzawodnictwo zbożowe amerykańskie w podobny sposób, jak to uczyniło już na dość znaczną skalę w Anglii, może podczas okresu powodzenia swą obfitością i taniością zmniejszyć produkcyę zbożową Europy; w chwili zaś przesileń w skutek ograniczenia uprawy w Ameryce, na pewien czas nie pokryć zapotrzebowań zrujnowanej naszej części świata. Zdolność do wyrzucania już ogromnych zasobów zboża, już kurczenia dostawy w dodatku z nieodłączną od siebie spekulacyą giełdową bezwarunkowo unicestwi stateczność zmian, spostrzeganą jeszcze na rynku zbożowym, i wystawi wytwórców na wahania właściwe przemysłowi przerabiającemu. Jak to odbije się na skórze włościanina, po poprzednich wywodach zbyteczna wspominać. Nadto, Ameryka, wytwarzając na dziewiczej glebie i zapomocą środków nieznanych Europie, czyni to z niezmierną taniością. Dawne prawo rynku zbożowego, iż cena płodów rolnych kieruje się według najniekorzystniejszych warunków uprawy, zostaje obalonem. Chłopu grozi już nietylko zupełna niepewność cen, lecz jeszcze współzawodnictwo z tańszym wytwórcą obok niezmiernej podaży. Przyszłość ściele przed tym stanem nędzę dotychczas nieznaną w jego dziejach; wystarczającą wskazówkę dają daty statystyczne we względzie obdłużenia włościaństwa w ostatniem dziesięcioleciu. Atoli to samo współzawodnictwo może jedynie posłużyć ku utrzymaniu drobnej uprawy! Produkcya zbożowa amerykańska odznacza się niepohamowanem łupieztwem ziemi, jest to jedno ze źródeł taniości zboża. Wobec tego zapaśnika wielka własność ziemska europejska staje z ciężkim rynsztunkiem — rentą gruntową, zyskiem przedsiębiorczym i płacą roboczą. Jeżeli nie pobiera tych wszystkich kategoryj ekonomicznych, istnienie jej zostaje zachwiane. Tymczasem osada włościańska może poprzestać jedynie na dochodzie, dostarczającym najniezbędniejszych środków wyżycia oraz funduszów podatkowych. Może przeto nastąpić, że pod naciskiem współzawodnictwa z Ameryką wielka własność ziemska europejska rozpadnie się na drobne fermy, i stosunki rolne przyjmą obrót, właściwy najmniej rozwiniętym prowincyom międzynarodowego obszaru wymiennego. Anglia dostarcza najlepszego dowodu. Renta miejscami spadła tu o 50—75%, mnóstwo gruntów nie znajduje dzierżawców. I oto wśród landlordów zjawia się „humanitarna“ miłość ku ludowi i gotowość zagłosowania taniego kredytu państwowego — dla wykupu puszkujących gruntów, naturalnie o ile nie są rodowymi. Wobec posuniętej w kraju tym idei unarodowienia, być może, reforma będzie dokonaną na stosownych podstawach, tembardziej, iż do przesilenia rolnego dołącza się bankructwo przemysłu przerabiającego z oddaniem tłumów miejskich na pastwę nędzy.

. . . .

Skończyliśmy. Nie mogąc nadużywać łamów *Prawdy* musieliśmy w wielu punktach ograniczyć się jedynie do ogólnikowych zaznaczeń. Powtóre, szło nam głównie o przedmiotowe skreślenie sprawy rozwojowej, nie zaś o wyszukiwanie i zaznaczanie naszych osobistych sympatyj, a przynajmniej nie o wysuwanie ich na plan pierwszy.

K. R. Żywicki.

LISTY Z NAD BAŁTYKU.

Przegląd życia prowincyonalnego. — Mierzwiński.— Bal „katolicki. — Bazar.— Teatr francuski. — Dwa kościoły. — „Polen-Bal.“ — Zło konieczne. — Powody milczenia. — Teatr polski. — *Halka* w Rydze.

Od dawna w listach nie wspominaliśmy o sprawach swojskich. Zaniedbanie to nie małe, jak się o tem czytelnik nie omieszka przekonać, wobec nawału wypadków, jakie zaszły w tym czasie w życiu polaków kresowego miasta Rygi. Był tu „król tenorów“ Mierzwiński, był tu nasz Mierzwiński, powtarzam, a wy o tem, przynajmniej od waszego sprawozdawcy, nie dowiedzieliście się. Podziwialiśmy go dwukrotnie w *Hugonotach*, zachwycaliśmy się nim w *Żydówce*, gniewaliśmy się na słuszne zarzuty tym razem zresztą łaskawszej krytyki; dziękowaliśmy mu za piękny dar 250 rs. dla miejscowego katolickiego Towarzystwa dobroczynności. A czytelnicy *Prawdy* nic o tem nie wiedzieli. Odbył się „elegancki“ bal na korzyść nieeleganckich klientów owej instytucyi, który, jako drobną odsetkę od znacznej sumy, wydanej przez uczestników zabawy, przyniósł czystego zysku stokilkadziesiąt rubli. Mieliśmy, na tenże cel, doroczny bazar z loteryą fantową, który nęcił prostaczków nadzieją wygrania krowy lub konia, bogatszych szampanem, bufetem, fotografiami itp. rzeczami, sprzedawanemi przez wytworne damy. Cel, uświęcający pokrewny oszustwu środek — loteryę, został wprawdzie, w tym wypadku, osiągnięty, gdyż pokaźna kwota, koło trzech tysięcy rubli zasiliła skromne zasoby Towarzystwa. Mieliśmy sposobność zdradzić naszą zdolność do języków obcych, czyli, jak mi

---

sklepieniami czyjeś ręce rozwieszały widziadła tak słodkie, iż pijąc je wzrokiem, prosił: dosyć, gdyż umrę! Lecz, gdy kościół zamykano, a jego wracano życiu, wołał: ach! jeszcze — i zawsze!

— Wracały po kilkakroć, lecz raz znikły i więcej nie wróciły!—szepnął Izydor, i dalej sznur wspomnień rozwijał.

Gdy na myśl jego, w spowiciu poezyi młodzieńczej marzącą, spłynęły jasne promienie wiedzy, ocknęła się, jak ptak świtem trącony, i wzleciała w górę, a on gonił ją coraz dalej i lotem jej się cieszył.

— Myśli moja! — mówił do siebie starzec — tyś była jak jastrząb. Bezchmurnem nad nim łonem przestrzeni znęcony ptak wzbija się wżej i wyżej — skrzydła ma tak mocne! Lecz on już, jak kamień, spada, bez tchu, znużony, a strop nieba jest ten sam, daleki, milczący, obojętny. Tyś upadłszy, żaliła się przede mną: „jam sama częścią natury, czemu ślesz mnie za jej granice,“ a ja — płakałem.

Zamilkł i dalej w przeszłość patrzał.

Jedna nuta tęskna odzywała się tam nieustannie, wplatając się we wszystkie echa, jakie mu pamięć teraz znosiła. Czy usta swe, przed laty, do ust kobiecych zbliżał, by z nich palącą rozkosz wypić; czy słuchał melodyi lub szumów leśnych, uroczystych głosów natury; czy w murach starych zbłąkane widma przeszłości gonił — wszędzie, dokąd słał myśl i uczucie, śladem ich biegło pragnienie nieskończoności. I wracało zawsze, zawód mu niosąc. Kończyło się wszystko! Myśl trącała o zapory, uczucie rodziło się z nasieniem śmierci. Stąd—rozpaczliwe zwątpienie i smutek omroczyły duszę jego.

Posępne były ogniwa, których pamięć jego dotykała w tem miejscu, więc przesunął je i ujął inne.

Była noc zimowa, srebrna pół, pół błękitna, złotem u góry, przyćmionymi brylantów blaskami u dołu przetkana, a cicha i uroczysta. Nieskończoności wysłanka w drodze ku mglistym i dalekim światom spoczęła nad miastem i przeniknęła go swym oddechem; jak powiewy wiatru chwytają szumy i w dal je odnoszą, tak ona swą lekką i nieuchwytną szatą zgarniała śpiącym marzenia senne, a czuwającym ich myśli, westchnienia, słowa — i niosła je kędyś. Izydor szedł smutny, gorzki, żalący się, gdy ona wypadkiem czoło jego trąciła zdobyczy pełnym zawojem swej sukni... Stanął, z podziwem patrząc na senne, w nieruchomym uścisku stulone gromady domów, skąd niespodzianie płynąć zaczęły fale cichych dźwięków. Zdawało mu się, iż kamienne zasłony rozsuwają się przed oczami jego, niby lekkie jedwabne kotary i że wzrok jego swobodnie sięga między mury, w komnaty, izby i alkowy, jedne ciche i uśpione w gęstych tajemniczych mrokach, inne światła i głosów pełne. Z nich to dźwięki się dobywały. Była to wielka pieśń miasta, chór z tysięcy głosów, dziwny i uroczy, gdyż nuty pełne i dźwięczne życia na jawie splatały się w nim z cichymi, jak echo, akordami sennych marzeń; było tu jednak wszystko, całe ludzkie życie, przez noc od pracy i zabiegów czynnych zwolnione. Niby rzeka w wiosennem rozlaniu płynęło ono przed nim szerokiem łożyskiem; wielka masa wód dołem ciągnionych była to masa powszednich pragnień i trosk rzeszy ludzkiej, które w wiązkach myśli przed snem gasną, a we śnie ulatują w lekkich splotach marzeń; po wierzchu goniące się, mętne, spienione, niespokojne fale—to były udręczenia i radości, obawy, niepokoje, zgryzoty, wyrzuty, zbrodnicze pomysły, stłumione i w piersiach wrzące namiętności, zachwyty upajające serce i myśli, tęsknoty, które ręce łamać każą i w ciszy nocnej nasłuchiwać czegoś, żale, skargi i błagania rzucane ludziom, Bogu i nocy; wszystko, co tym tysiącom nieznanych mu ludzi sen odganiało z powiek lub roje mar rozwieszało przed oczami ich uśpionej my-

to wyjaśnił pewien zacny mąż, zdolność do dyplomacyi, odgrywając ze wzorową „prononsacyą“ komedyę francuską. Około sześciuset rubli uzyskało stąd Towarzystwo. Pewne „demokratyczne“ stowarzyszenie udzieliło swej firmy teatrowi amatorskiemu i tańcom na korzyść budowy kaplicy w Majorenhofie. Iście demokratyczne przedsięwzięcie! Kaplica w okolicy kąpielowej, nadmorskiej, odwiedzanej przez majętnych ludzi, których, skoro na kuracyę grzesznego ciała wydatkują po paręset rubli, mogliby, niewątpliwie, pomiędzy sobą zebrać owe trzysta rubli na budowę zakładu, leczącego pono wszelakie choroby duchowe, kaplica ta obejść się stanowczo mogła bez pomocy ogółu, na który ciężary dobroczynności bynajmniej nierównomiernie się rozkładają. Ujście dla swej religijnej gorliwości prowodyrzy demokratyczni znaleść by mogli niedaleko, bo na miejscu, w Rydze, gdzie przejawia się potrzeba budowy kościoła katolickiego na przedmieściu, zaludnionem przez ubogą ludność, roboczą, która nietylko do Majorenhofu jeździć, lecz nawet chodzić do zbyt odległego i ciasnego zresztą obecnego kościoła w Rydze nie ma czasu. Ale trzeba przecież wymyślać pozory, aby do pewnych sal balowych bądź co bądź wtłoczyć „śmietankę“ towarzystwa, bez której nawet demokratom tak trudno się bawić! W lutym odbył się bal na korzyść kasy stypendyalnej korporacyi studenckiej „Arkonia,“ zwany powszechnie tutaj „Polen-bal'em,“ co oczywiście w Rydze, jak i gdzieindziej, jednoczy się z pojęciem: „najelegantszy,“ „najpiękniejszy.“ Dał on ubogiej młodzieży koło 700 rs.

Wszystkie opisane wypadki zaszły w Rydze a jam tak opóźnił się z opisem ich w szpaltach *Prawdy*! Może jednak niejednemu czytelnikowi w tej chwili nastręczył się na myśl argument, którym poniekąd opieszałość mą usprawiedliwiam: wszystko to takie znane, tak powszednie! Gdzież bo nie odbywają się partackie teatry amatorskie; gdzież nie przybywa Mierzwiński lub podobna znakomitość; gdzież niema balów „religijnych, naukowych i wogóle dobroczynnych;“ gdzież nie utyskiwali „teoretycy“ na nieracyonalność systemu wyzyskiwania publiczności drogą zabaw dobroczynnych i loteryi; gdzież nie otrzymywano na to odpowiedzi, iż jest to *malum necesarium*, zło konieczne, podobnie jak gra w karty, pojedynek, uleganie zmiennościom mody itd. itd.; gdzież u nas niema demokracyi od budowania kościołków? Gdy wśród takiego żyjesz otoczenia, bierzesz w imię „solidarności społecznej,“ lub jeszcze wyższych ideałów, udział w tych wszelakich przedsięwzięciach i tak jesteś zadowolonym, że okres ten już minął, iż nawet z uśmiechem spoglądasz na opróżnioną kieszeń i zaprawdę niechętnie wspominasz o tem wszystkiem.

A jednak w tym okresie szaro-burych powszedniości mieliśmy parę godzin ubarwionych jaskrawszem weselem i zadowoleniem. Z inicyatywy zamieszkałego tu w Rydze literata p. G., tegoroczny polski teatr amatorski przedstawił niedawno *Zemstę za mur graniczny* Fredry. Rzecz to niezwykła, bo miernota literacka, błaha, bezwartościowa farsa — oto powszedni chleb, dawany przez amatorów uczestnikom rzadkiej duchowej biesiady, jaką niewątpliwie jest teatr polski na obczyźnie. Klasyczna, jakby ją nazwali niemcy, komedya Fredry specyalnie się nadaje do tego rodzaju przedstawień, jeśli siły artystyczne są jako tako wystarczające. W Rydze przedstawienie bezwarunkowo się powiodło, dając w spuściźnie naukę, iż skoro tyle zachodów i czasu poświęca się tej rozrywce, należy i można wybierać rzeczy wartościowe. Choć w pamięci szczęśliwszych z nas uprzytomniała się gra Rychtera, Rapackiego i Szymanowskiego, jednak przedstawienie na uroku nie traciło, tak staranną i poniekąd uzdolnioną była gra Cześnika, Rejenta i Papkina. Inne pomniejsze role, aż do drobniutkich, przyczyniały się do odtworzenia pięknej całości. Stroje polskie były tak dobre, że nadawały się dla najlepszej sceny. Dochód wyniósł koło 600 rs., na korzyść tylekroć już wpomnianego Towarzystwa dobroczynności. Zadowolenie swe z gry artystów publiczność wyraziła, składając reżyserowi A. R—t wieniec z napisem: „Reżyserowi od wdzięcznych widzów.“ Że poważniejsza sztuka odpowiada wymaganiom kresowej publiczności świadczy dalej, niebywały w kronice życia tutejszego fakt, licznego nalegania o powtórzenie widowiska. Amatorzy zgodzili się i sami narzucali się ze swojemi chęciami. Tymczasem stało się coś nadzwyczajnego: wszystko bowiem rozbiło się o *brak* celu, na jaki użyć by należało osiągniętą kwotę pieniężną. Towarzystwo dobroczynności słusznie sądziło, iż w r. b. wyzyskiwaniu przezeń publiczności wypadałoby położyć kres. Chciano przeto grać na korzyść budowy kościoła na przedmieściu Rygi, ale znalazł się i tutaj zacny ksiądz, który odradzał grać teatr w poście i wogóle budować kościół za sumy tak zdrożnym sposobem zebrane. U *Kuryerów* zapożyczam w tym wypadku „formułki: „komentarze są chyba zbyteczne.“

A propos teatru. Miejska scena niemiecka da nam wkrótce *Halkę* Moniuszki.

R.

SPRAWY EKONOMICZNE.

KOLONIZACYA NIEMIECKA.

Dawniej już kilka razy robiliśmy wzmianki o kolonizacyi niemieckiej na Wołyniu. Obecnie posiadając nieco bogatszy materyał (z *Warsz. Dniew.*), możemy przedstawić szeroki niekrwawy obraz podbojów niemieckich, bezustannie pośród nas prowadzonych. *Drang nach Osten* rozpoczyna się bardzo wcześnie, bo od r. 1787. W ciągu następnych lat 73 osiadło na Wołyniu 5,323 niemców. W dalszym szeregu lat, aż do r. 1871 ruch ten silnie się wzmaga, a w czasach ostatnich przybiera charakter gorączkowy. Od r. 1861 do 1871 osiadło w gubernii wołyńskiej 25,884 niemców, czyli pięć razy więcej, niż w pierwszych latach. Wszystkich ogółem kolonistów w tym kraju liczono w 1871 r. 36,686. Nie jest to jeszcze tak straszna cyfra wobec gęstości zaludnienia (1,583 osób na milę kwadratową). W tym samym czasie w całym kraju południowo-zachodnim liczono 44,060 kolonistów (na gub. kijowską i podolską tylko 7,378). Najciekawszy i najgroźniejszy ruch w tym kierunku objawia się w latach ostatnich. Daje się on spostrzegać nietylko śród niemców. Od roku 1871 do 1876 ogółem cyfra cudzoziemskich kolonistów wzrosła do 53,146, zaś w roku 1882, według sprawozdań gubernatorów, liczono ich już 93,108 w kraju południowo-zachodnim; w tej liczbie w gub. wołyńskiej 87,731. Tak więc w ciągu tylko lat pięciu osiadło w rzeczonym kraju przeszło 40,000 cudzoziemców. Jak widzimy z powyższych cyfr, obcokrajowcy najbardziej ukochali Wołyń. Rozpatrzmy stosunek ich procentowy do miejscowej ludności według powiatów: w pow. żytomierskim 10,7% całej ludności, w łuckim—9,6%, w nowogrodzko-wołyńskim — 8,3%, dubieńskim — 10,5% i włodzimiersko-wołyńskim — 10,2%. Największy procent w tych dwóch ostatnich powiatach, jako pogranicznych. Ludność miejscowa wogóle jest wystawiona na wszelkie obce wpływy, nie może się zwarcie trzymać, tem więc niebezpieczniejszy jest dla niej żywioł niemiecki. Cudzoziemcy w ogólnej cyfrze ludności kraju po-

---

śli. Izydor słuchał..., a duch jego rwał jak pajęczą siatkę pęta własnych żalów i skarg i stawał się coraz to głębszym, coraz to większym, ogromnym tak, że w sobie wmieścić mógłby wszystko, co noc nieskończoności w darze niosła!

Jeśli noce swego anioła mają, który tajemniczym rylcem kreśli na czole człowieka wielkie myśli, a serce rozwiera dla wielkich uczuć, to nocy tej anioł głęboką bruzdą porył jego ducha i przez gorzki, trujący osad, jaki weń życie naniosło, sięgnął do drzemiących pod nim czystych źródeł i ujście im otworzył. Ze szczeliny dobył się naprzód smutek, za nim miłość i splotłszy się, płynęły tymi śladami, jakie w łożysku ludzkiego życia żłobili cierpiący i smutni. W duszach ich czytał odtąd, jak w księgach otwartych, a wyrazy cierpień na kartach ich skreślone ścierał pieszczotą serca, promieniem wiedzy, lub obłokiem poezyi. Całą potęgę swej miłości rzucał pod stopy tłumom, przysłaniając rozsiane na ich drodze ciernie ostre i kamienie. A one płaciły mu za to, składając w duszy jego dobytek swych bólów!

Z jakiemże wzruszeniem zaglądał teraz do tej skarbnicy!

Jest ona tak wielką i tak wspaniałe kryje rzeczy, jak głębina morza. Na dnie jej poznaje najpierw spuściznę duchów podobnych swemu. Ich myśl dusiła się w szczelinach, rozwartych w straszliwym mroku niewiadomości, otaczającym człowieka; ich serca przeszły po szczeblach ziemskich uczuć i zatrzymały się na ostatnim, a wciąż pełne były jeszcze miłości, która nie miała już co ukochać. W wirze powszedniego życia byli oni — ze swą myślą i uczuciem wiszącemi tęsknie u stropu nieskończoności — tak samotni i smutni, jak skały, o które fale tłuką zajadle, nie rozumiejąc, po co sterczą nad niemi te bryły wielkie i co im wskazują. Lecz czasem cały ocean duchów ludzkich kładł się, cichy i zadumany, u stóp ich i liżąc je ze czcią, wsłuchiwał się w polot myśli i pragnień olbrzymów, i w samym sobie echa tęsknicy jakiejś szukał — i znajdywał je!

Koło tych granitowych pamiątek w skromnych konchach zamknięte drzemią perliste łzy. Wyłowił je w przezroczystych głębinach dusz, które lotem swym lękliwie kreślić mogły niewielkie i niedalekie kręgi. Oczy ich dostrzegały nad sobą odległe, lecz bardzo piękne blaski słońc, a serca — proste i szczere — były gotowe je ukochać; atoli życie odłamywało słabe skrzydła tych duchów, czepiając do nich obfitość ciężarów, których pozbyć się nie umiały. W spełnianiu zadań ciężkich, a bezowocnych dla myśli i serca wiek ich uchodził, a gdy, oglądając się wstecz, widzieli go zmarnowanym i smutnym, w skrytości pozwalali oczom łzy ronić, a ustom żalić się: „słodko jest kochać rzeczy, których dźwięk imienia sercom szybciej uderzać każe! Szczęśliwi, których miłość przelana w czyn, spłonęła w ogniu ofiarnym na cześć słońca. Myśmy tylko zdaleka przy tym stosie serca nasze grzeli!“

Nie promienie ciepłe, lecz chłodny i mrożący blask dalekich świateł spadł na omroczone dusze tych, którzy, szamocąc się w siatce życia, druzgotani maczugą niepowodzeń, zawodów, upokorzeń, biedy, chłostani złością i głupotą, gryzieni we wnętrzu swej duszy sforą głodnych jej potrzeb — to zachłystując się z goryczy, to grożąc w bezsilnym gniewie zemstą swym losom, a na siebie ją zlewając — ślepi, nie omijali błotnistych kałuż i martwieli opasani wężowymi splotami występku! Serca ich, gdy nikt nie widział, płakały czarnemi łzami rozpaczy, zazdrości i tęsknoty!

Były duchy, które zawrotnych wyżyn nie lękały się i śmiałem okiem w słoneczne oblicza ideałów patrząc, słały ku nim namiętne pragnienia. Gdyby rozpięły swe skrzydła i wzleciały, możeby dla swych

łudniowo-zachodniego stanowią 14,6%; w g. kijowskiej — 0,28%, podolskiej — 0,08%, wołyńskiej — 9,6%., czyli na 10,000 ludności przypada prawie 1,000 cudzoziemców w tej ostatniej gubernii. Ważnym jest faktem, iż koloniści trudnią się przeważnie rolnictwem. Gdy zestawimy ich z masą ludności włościańskiej, otrzymamy w gub. wołyńskiej 16,95%., tj. cudzoziemcy stanowią *siódmą* część ludności rolniczej (wykluczając szlachtę).

Do r. 1871 cudzoziemcy nabyli na własność 52,365 dziesięcin gruntów w kraju południowo-zachodnim, nadto mają w dzierżawie 64,748 dziesięcin. W następnem dziesięcioleciu obszary przez nich nabyte znacznie wzrastają: 110,426 dzies., razem zaś — 552,717 dzies., w tej liczbie w gub. wołyńskiej 399,953 dzies. Pośród kolonistów cudzoziemskich czechów jest 13,500; posiadają oni przeszło 82,000 dzies.

Ciekawy rezultat wypada przy porównaniu gruntów włościańskich gub. wołyńskiej z posiadłościami kolonistów: na *sześć* dziesięcin gruntu włościańskiego przypada *siedem* dzies. gruntu kolonistów.

Ziemia dla szkółek wiejskich.

Niedawno w pierwszym oddziale Cesarskiego Towarzystwa wolno-ekonomicznego w Petersburgu z udziałem komitetu oświaty rozpatrywano sprawę zaopatrzenia szkółek ludowych w nadziały ziemi, w celach nauki gospodarstwa rolnego, która mogłaby znacznie polepszyć byt ekonomiczny włościan, pierwotnie gospodarujących. Sprawa ta nabiera coraz większego rozgłosu i budzi szerokie zajęcie; jednocześnie wszakże rodzi rozmaite wątpliwości, co do zastosowania jej w praktyce. Już samo posyłanie nauczycieli wiejskich na letnie kursy do wzorowych ferm jest niezupełnie wygodnem. Doraźna nauka, która wymaga przecież dłuższego czasu i nie może być traktowaną tylko praktycznie, nie da się następnie zaszczepić skutecznie w uczniach szkółek wiejskich. Należałoby więc przedtem utworzyć chyba specyalną szkołę dla nauczycieli wiejskich, z obszernym oddziałem nauki rolnictwa. Dalej co do warunków materyalnych: każda szkoła powinnaby otrzymać najmniej tyle gruntów, ile posiada przeciętnie każdy włościanin, względnie do warunków danej miejscowości (10—15 dziesięcin). Pomijam już, że nie wszędzie dadzą się łatwo znaleźć do nabycia takie obszary, ale do tegoż potrzebne są zabudowania odpowiednie, inwentarz żywy i martwy. Wszystko to będzie wymagało olbrzymich sum, które nie lekko się zbiorą. Sprawa tym sposobem może się wlec przez lat dziesiątki.

Zdaje mi się, że o wiele praktyczniejszą w tym względzie byłaby myśl następująca: Zaopatrzyć szkółki ludowe w grunt odpowiedni na zakładanie ogrodów owocowych. Na to potrzeba dla każdej szkółki nie więcej jak jedną dziesięcinę, którą może obdarzyć nawet nie jeden z właścicieli ziemskich. Nauka ogrodnictwa jest o wiele łatwiejszą od rolnictwa i stosunkowo przy niewielkim nakładzie gałąź ta gospodarki może być znaczną pomocą materyalną dla włościanina. Uczeniem zaś i wpajaniem zamiłowania śród ludu do tego przedmiotu, mogą się zająć nietylko nauczyciele, lecz także nauczycielki.

NA MARNE.

W miarę zbliżania się wiosny Wisła coraz bardziej zaczyna niepokoić mieszkańców nadbrzeżnych. I przyjdzie znowu ta straszna chwila, że będzie zalewać wioski, pola, łąki, zabierać mienie i życie ludzkie. Znowu przybędzie kilkanaście tysięcy nędzarzy rozpaczających, a prasa im zawtóruje słabem echem, kołacząc do serc litościwych. Zniszczeni, przybici klęską, otrzymają potem po kilku miesiącach doraźną zapomogę, która im ani chat wywróconych nie podniesie, ani inwentarza żywego i martwego ani posiewów zmytych lub zamulonych nie wróci. Policzmy, ile to pieniędzy z ofiarności publicznej na ten cel poszło, a czy wiele to korzyści przyniosło poszkodowanym? Gdyby te sumy obrócić na *umiejętną* regulacyę rzeki! Próbowano i tego, ale z jakim rezultatem — wykażą krótkie dzieje tych robót (według danych z *Gaz. radomskiej*): W r. 1866 zawarto międzynarodową konwencyę, na mocy której rządy: ruski i austryacki, zobowiązały się swym kosztem uregulować Wisłę we wspólnej granicy od Igołomi pod Krakowem do Zawichosta, na długości około 170 wiorst. Na to rząd austryacki zobowiązał się dawać rocznie 200,000 reńskich, zaś ruski—40,000 rubli. Od strony austryackiej przez ten czas już prawie wszystkie roboty ukończono. U nas... wiele było dobrych chęci. Po jednej z większych powodzi (w r. 1880) zmieniono system prowadzenia robót, ministeryum zaś komunikacyi fundusz regulacyjny podniosło z 40,000 do 170,000 rs. rocznie. Taka suma znacznie dopomogła, tak iż od r. 1880 prawie wszystkie wykonane roboty wytrzymały siłę wezbrania wody. Jedna tylko jest tu wielka wada, że roboty nie są wykonywane systematycznie, lecz się rozpraszają na znacznej przestrzeni oderwanie. Podobno — jak twierdzi organ radomski — panowie inżenierowie nie zwracają uwagi na rzeczywiste położenie danej miejscowości i nie uwzględniają tego, że środki zastosowane w odpowiedniej chwili naprawią koryto rzeki, a koszt będzie nierównie mniejszy, niż wtedy, gdy woda wedrze się daleko w lądy. Takie były przykłady pod Sandomierzem, Bogoryą, Gągolinem, Osiekiem itd. Po 23-letnich robotach, zaczynając od ujścia Sanu aż do Igołomi, Wisła nie jest uregulowana nawet na długości dwóch wiorst w jednym ciągu; natomiast w wielu miejscach brzegi na przestrzeni *dziesiątek wiorst* są zupełnie opuszczone. Skutkiem tego w miejscach ściśniętych tamami woda płynie wązko, głęboko i bystro; za to hula na przestrzeniach wolnych, rozlewa się szeroko i tworzy mielizny, na których znowu na wiosnę robią się zatory.

Tymczasem zobaczmy, ile sum już pochłonęły te roboty. Od roku 1867—1880 po 40,000 rs. tj. 520,000 rs.; od r. 1880 do 1886 po 170,000 rs.— czyli 1,020,000; przez lata 1887 i 88 po 140,000, razem 280,000, czyli ogółem 1,820,000 rs. Po rozdzieleniu tej znacznej sumy na 170 wiorst wypadnie, iż wiorsta regulacyi Wisły kosztuje około 11,000 rs. Dołóżmy do tego jeszcze tysiąc rubli na wiorście od mieszkańców nadbrzeżnych, na wzmocnienie lądów, popsutych przez regulacyę. Pomimo to stan rzeczy w miejscowościach *zabezpieczonych* wcale się nie zmienił, a nawet bywa gorszy, jak pod Łęgiem i Osiekiem, gdzie linia normalna Wisły fałszywie jest przyjętą. W r. 1880 wydane było postanowienie, iżby inżenierowie regulacyjni w czasie swoich robót używali przybrzeżnych mieszkańców; podobno jednak o tem postanowieniu dziś już zupełnie zapomniano.

Wobec powyższego łatwo czytelnik zgadnie, czyja tu wina. Rząd ufając w zdolność i sumienność inżenierów, przeznacza olbrzymie sumy, które przy niezdarnem czy też lekceważącem prowadzeniu robót, idą na marne, mieszkańcy zaś nadbrzeżni stracili zupełnie zaufanie do środków zapobiegawczych i kto wie, czy w razie energiczniejszego wzięcia się kiedyś do rzeczy, zechcą chętnie przyłożyć ręki do ocalenia siebie samych od klęski.

Z. P.

---

braci garście przepięknych płomieni w darze od słońca przyniosły. Lecz cóż? Życie na ich drodze stawiało kupę obowiązków, ani zbyt donosłych, ani mogących nasycić ich łaknienia; przekroczyć nie chcieli, ani na barki cudze je zrzucić i ugiąwszy dumne karki, pod jarzmo je wtłaczali; pokazywali światu twarze spokojne i zadowolone, lecz dusze ich opływały w straszliwym smutku i brzmiały pieśnią pogrzebu dla nieużytych sił. Ich łzy, w koral skrzepłe, znalazły się w skarbnicy Izydora.

Więc widzi duszę swoją jako dno morskie, na którem osiadły olbrzymie ławice niedoli ludzkiej. Kto nie zaniósł tam ziaren swoich? Nie widząc go częstokroć, niosły mu je tłumy, skarżąc się, iż są głodne, inne, że są ciemne, inne, że złe są, inne, że uczucia ich sponiewierane zostały, młodzi skarżyli się, iż życie nie ma dla nich radości, starzy — iż goryczą ich napoiło!

A on się nie skarżył! Dusza mu się łamała pod ciężarem cudzych bólów, a on niósł go troskliwie i wielbił go, gdyż ogromem niedoli ludzkiej zdławiona milkła skarga jego własnego ducha: skarga biednej myśli, bezsilnie tłukącej się o skały mroku, przysłaniające prawdę i skarga serca, tęskniącego do nieśmiertelności!

Przyszedł do końca! Jak dziwnem się to wydaje!

Oczy starca — płonące i suche — mierzyły nieruchomym wzrokiem krąg mroku, pełny cichości posępnej—opasujący go bliżej coraz i bliżej.

Cóż należy uczynić? Otrząsnąć barki z tego, co uciskało je lat tyle, co — zda się — przyrosło do nich; porzucić skarby myśli i uczuć złożone w darze od braci i oddalić się *tam* — samemu! — i unieść z sobą tajemnicę zwątpień, którą krył całe życie, bacząc, by nigdy ich krople nie prysły w pieniące się nadzieją kielichy młodości? Więc nagle żal przeszył jego serce, żal okrutny, iż u końca nie widzi nikogo, pod czyje nogi rzucić by mógł skarb swego życia — rzucić z jękiem straszliwym i błaganiem: ulituj się!

Żal, czy żale przedśmiertne coś wrócić mogą lub czemuś zapewnić byt nieskończony?

Przykrył twarz rękami i szeptał:

— Czuję, jak w duszy mojej — pod tchnieniem śmierci— więdną kwiaty uczuć. Najpiękniejszy — miłość — osypuje z kielicha swego barwne listki. Czy pyły jego nasienia, które rzuciłem na gorącą glebę młodych duchów, wyrosną w kwiat o woni tak ciepłej, by tchnienie jej roztopiło lody smutków, mrożące dusze tych, co żyją?!

Po chwili westchnął:

— Jakże mi smutno!

A jeszcze po chwili — mówił:

— Ktoś mi odbiera i tę suchą łodygę, na której niegdyś tyle kwiatów wyrastało: smutek! Nie mam już nic!

Ciemniej i ciemniej coraz stawało się dokoła Izydora. Bez szmeru znikły ostatnie blaski wspomnień. Była już tylko noc, a w głowie starca błąkała się tylko reszta niewyraźnego marzenia o przestrzeni jasnej i ciepłej, skąd niekiedy dolatują dźwięki. I teraz zdawało mu się, iż gasnącym słuchem łowi jakieś echa, przywołujące go kędyś, lecz spłoszył je, wstrząsnąwszy głową, i martwiejącemi usty — szepnął:

— Idę — sam!

W przestrzeni echo rozniosło: sam.

Nad Izydorem zamknął się krąg mroku.

* * *

Nieznana ręka złożyła na mej głowie tę wiązkę myśli gasnącego ducha, z kroplami smutku, błyszczącemi na niej — jak rosa. Gdym odsuwał je z lękiem, by nie omroczyły mi duszy, dojrzałem ich jasną przepaskę: beznadziejność grobu nie zwalnia za życia od pełnienia obowiązków człowieka!

F. G. B.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Józef Waśniewski, *Zygzaki*, Warszawa, 1889, s. 200.
Jan Grzegorzewski, *Najnowsza powieść w Słowacyi*. Warszawa, 1889, str. 31.

I znowu pojawił się świeży profil w galeryi nowelistów. Do ramy przyczepiona kartka nosi na sobie nazwisko: „Józef Waśniewski." Czytelnicy dzienników i pism tygodniowych widywali je już dawniej czerniejące pod krótkimi utworami, pełnymi ognia, zapału, a zarazem smętnego liryzmu. Dzisiaj autor zebrał swe płody razem i na czele tego hufcu staje przed ogółem. Bibliografia i krytyka teraz dopiero zawierają z nim znajomość. Tak chce i nakazuje przyjęty zwyczaj.

Zaledwie podmalowany obraz, nie da należytego wyobrażenia o całości po wykończeniu; na podstawie jednego tomu młodzieńczych, a pierwszych utworów, niepodobieństwem jest dokładnie określić rodzaj i przymioty talentu. Nikt bowiem nie zdoła zaprzeczyć, że natura wyposażyła p. Waśniewskiego zdolnościami literackiemi. Starajmy się je określić. Jest tam zmysł spostrzegawczy, bystry a wyrobiony; dowodem tego opowiadanie p. n. *W półświetle*. To ostatnie swiadczy zarazem, że autor nie znosi obłudy. Wypukle bowiem, otwarcie, a równocześnie i artystycznie kreśli on zdobycze swej obserwacyi. Po trzecie wreszcie pióro jego łzawi się sporą dozą liryzmu, a w sercu kiełkuje, bezwiednie może, optymizm. Napawa to go wiarą, że w każdym człowieku budzi się w danej chwili miłość bliźniego, szlachetność i pociąg ku czystszym i lepszym uczuciom. P. Waśniewski należy jeszcze do tych, którzy lubią udowadniać zapomocą scen efektownych i tkliwych, że nawet potwór pozbywa się choć na chwilę wszelkiej zwierzęcości i wstrętnego rozbestwienia. Młodzieńcze złudzenie i nic więcej! Można bowiem zaręczyć, że osiemdziesięciu na stu starych kawalerów— a takim jest właśnie bohater *W półświetle*— postąpiłoby inaczej, aniżeli „ów jegomość z czarnym zarostem." Sprowadziwszy sobie do mieszkania młodą dziewczynę, wiedzącą, w jakim celu przyszła, nie zdołaliby oni wyrzec się przygotowanej biesiady. Na świecie bowiem nerwy, krew i ciało bardzo często kierują obowiązkiem ludzkim, rozsądkiem, a nawet uczciwością.

P. Waśniewski z boleścią widzi ten skutek. Ów bunt przeciw rzeczywistości kładzie w jego usta skargę na świat i ludzi. Stąd mimowolne zerwanie z przedmiotowością, gładką i artystyczną, lecz nieraz płytką i bezlitosną. Nie jest on zaschłym archiwistą życia ludzkiego, nie umie spokojnie i zimno kłaść faktu przy fakcie, zaznaczając tylko ich istnienie. Przeciwnicy tedy lub niechętni zarzucają mu brak formy artystycznej, literackiego wyrobienia i gorączkę młodości. Ci zaś, którzy nie lubią patrzeć na smutki i łzy cudze, twierdzą, że jest on nudnym. Zarzut niesłuszny! Zresztą nieco nużąca, lecz nienudna jednostronność jest właściwą każdemu młodemu wadą. Zapalczywie, a stale umiłowane hasła i zasady, zasłaniają oczom ducha niejeden objaw społeczny.

Przyznam się atoli, że stokroć milszą jest mi owa gorączka młodości i owa jednostronność, aniżeli wymuskane lub odlane w jednej i tej samej szablonowej formie płody pisarzów, rzekomo silących się na przedmiotowość. W tych ostatnich bowiem widzę albo przedwcześnie zgrzybiałych starców, albo fabrykantów gipsowych odlewów; w pierwszej natomiast kipi ów zapał, który ongi wyśpiewał *Odę do młodości*.

Najnowsza powieść w Słowacyi pióra p. Jana Grzegorzewskiego, przedstawia działalność Svetozara Hurbana, pisującego pod pseudonymem Vajansky'ego. Syn Józefa Miłosława Hurbana, znakomitego działacza społecznego Słowacyi z epoki 1848, Svetozar dał się poznać zarówno z prac publicystycznych, jak poetyckich i powieściopisarskich. Jest dobrym dziennikarzem, będąc jednym z głównych współpracowników politycznych *Narodnich Nowin* i sam redagując najpoważniejszy organ literacki w języku słowackim *Slovenske Pochlady*; znany jako zdolny i pierwszy po Hwierdosławie poeta, a w naszych czasach przedewszystkiem jest najlepszym powieściopisarzem i nowelistą najnowszego kierunku literackiego w Słowacyi. Jako poeta dał się najpierw poznać w 1880 roku zbiorem małych poetyckich utworów p. t. „Tatry a more," gdzie złożył kwiaty natchnień zarówno ze swej ojczyzny tatrzańskiej, jak od pobratymców z nad Adryatyku, dokąd podróżował. *Tatry a more* wyszły w St. Martinie w 1880 r. „W trzy lata potem wydany tamże przez siebie zbiór nowelek ochrzcił Vajanský ogólnem mianem — „Besedy a dumy," nadając każdej z nich właściwe im tytuły, a pewnej seryi, mieszczącej po kilka nowelek, zbiorowe nazwy, jak: „Obrazký," „Barwy a tóny" itd." Z powieści najwybitniejsze są: *Lstiace tienie* (*Przelotne cienie*) i *Sucha latorośl*.

Za cel postawił sobie Vajanský nasamprzód odmalowanie stanu społeczeństwa słowackiego, jęczącego pod pięścią okrutnych azyatów, węgrów. Na tem tle zaś wzrasta, a raczej obumiera „sucha latorośl." Jest to „szlachta, większi właściciele ziemscy ze wszystkiemi zaletami i przywarami naszej szlachty w znaczeniu towarzyskiem i społecznem, a nieskończenie niższej wartości pod względem narodowym. Są to albo zupełnie wynarodowieni i tylko jak nasi Wilmowscy, noszący narodowe nazwisko, albo w większej części zobojętnieli, zaledwie w małej dozie w życiu domowem posługujący się mową ojczystą, ale interesami i częścią uczuciem już, jak Radolińscy, ciążący ku obecnemu słońcu. Zwyczaje i obyczaje trzymają się tam jeszcze tradycyą narodową, bezwiedną, ale świadomość własna pchnęła ich na pochyłość ku wynarodowieniu. Zwykłe to zjawisko w Słowiańszczyźnie, owo najszybsze uschnięcie warstwy społecznie najwyższej. Przykładem tego czesi i serbowie; ci ostatni dostarczyli turkom begów. Dzisiaj niestety ta sama przemiana odbywa się u chorwatów i słowaków, których szlachta najliczniej pomnaża zastępy t. z. madjaronów. „Całe brzemię pracy narodowej spoczywa tam (w Słowacyi) na duchowieństwie, z którego się rekrutuje stan nauczycielstwa ludowego i na nielicznej garstce inteligencyi, złożonej z drobnych urzędników, nielicznych rękodzielników i kupców drobnych, tudzież statkarów — średniego stanu ziemiańskiego (którego nam brak prawie zupełny). Cały ten zastęp tworzy właściwy stan średni, nie silny liczebnie, a tem mniej finansowo." Lud wiejski jest uczciwy i pracowity, lecz nie posiada wyrobionej świadomości narodowej, a przytem bieda zrobiła go zahukanym i trwożliwym.

To też z goryczą odzywa się bohater *Cieniów* przelotnych:

„Piękny ten wasz żywot duchowy! — zaśmiał się Milko. Mój ojciec modli się za naród już pięćdziesiąt lat pod lipami przed krzyżem, pisze książki dla samego siebie; tam w mieście adwokat Machacz, „duchowy" adwokat, kuje wciąż nowe spółki i stowarzyszenia, które wiecznie tworzy, a wiecznie sam rozprzęga, w dzień szyje, w nocy pruje. Kasyer Bajan chodzi ulicą na palcach, bojąc się własnego tchu, ale za to w domu pomiędzy czterema ścianami, zaciska pięści, wyzywa pomstę na nieprzyjaciół ojczyzny, gotów za się wszystko po drodze rozmiażdżyć — a tu nasz, przy stosunkach naszych dość bogaty statkar, urodzony pan Eugen Duszan de Humenno siedzi nad rzeką, lubuje się flisakami, albo dworuje przy starych madziarońskich grzesznicach i ich potomstwie. A wielu jest takich i podobnych świętych w naszej niebardzo szerokiej *ecclesia militans*? Wielu niedouczonych studentów, którzy podwaliny światów chcieli przenosić z miejsca na miejsce w idealistycznych porywach! Ilu zbłąkanych marzycieli, którym krom serca i poczciwej woli, brak wszystkiego? Cóż zostało? Czysty płomień westalski patryotyzmu, którym jednak nie ogrzejecie w zimie pieca, ani nawet fajki nie zapalicie. A tymczasem gdy my zajęci jesteśmy mistyczną wędrówką pod obłoki, zabierają nam inni grunt pod nogami naszemi, rozumny, praktyczny faryzeusz rozpiera łokcie wśród ludu naszego, ba, nawet niemiec Bauer buduje zakłady przemysłowe, ciągnie zyski i siły naszych górskich potoków i pięści..."

Smutny obraz, który już raz przecie mógłby wygonić z pamięci naszych mamutów politycznych śpiewkę: „Węgier, polak, dwa bratanki — itd."

A. Witski.

Z NIEMIEC.

16 marca.

Jubileusz Döllingera. — Zobeltitza „Flittergold." — „Sie ist es," nowa powieść Heleny de Beniorky. — „Seine Frau" Reichenbacha. — „Neue Hochlandsgeschichte" Silbersteina. — „Leibeigen," nowele Beaulieu'a. — Strindberga „Der Vater." — Wilbrandta „Der Meister von Palmyra." — „Die Lüge," dramat nieznanego autora wystawiony w Berlinie. — Pan Idus.

Ze szczególną okazałością obchodzono w Niemczech dziewięćdziesiątą rocznicę urodzin uczonego księdza, który w starciu między państwem a papieżem stanął po stronie państwa, a wyklęty został przez kościół. Döllinger, który od sześćdziesięciu trzech lat wykłada na wszechnicy monachijskiej, podjął był walkę swą z papieżem jako proboszcz nadwornego kolegium św. Kajetana; odpowiednio stanowisku rządu bawarskiego, dziś jeszcze urzędowo figuruje on jako profesor teologii i proboszcz, wykreślony zaś jest z listy duchownych. Uznawany zawsze jako jeden z najgłębszych uczonych, nie zawsze jednak słynął z liberalnego myślenia. Jeszcze jako biograf Lutra ulegał wpływowi ultramontańskiemu, wskutek czego wywołał przeciwko sobie burzę u gorliwych protestantów. Przybywszy atoli w r. 1857 do Rzymu, poznał nierząd, toczący państwo papiezkie i niechęć postępowych włochów ku panowaniu papieża, zaprzyjaźnił się z florenckim historykiem Gino Capponi i w ten sposób, związany sympatyą z Włochami rewolucyjnymi, stanął już niejako przeciw Piusowi IX. W r. 1860 wygłosił w Monachium parę odczytów o państwie kościelnem; na pierwszym zjawił się też nuncyusz papiezki. Ale skoro Döllinger wypowiedział słowa: „Kościół nie zna zapowiedzi, że następca Piotra zostanie zawsze monarchą państwa świeckiego" — Jego Eminencya opuścił salę. Kiedy papież, przeczuwając bliski upadek swego świeckiego panowania, ozdobić się pragnął nimbem nieomylności, Döllinger dogmatowi temu uznania swego odmówił.

Król Ludwik, którego duch śmiały, wówczas jeszcze niezmącony, sympatyzował ze wszystkiem, co liberalne i postępowe, wystosował wtedy do Döllingera list, z którego wyjmujemy ustęp charakterystyczny: „Podobnie jak kraj cały, dumny jestem, że mogę pana nazwać naszym. Czy potrzebuję mówić, jak bardzo uradowała mnie stanowcza postawa pańska wobec kwestyi nieomylności? Przykro mi natomiast, że opat Henneberg uległ papieżowi, minąwszy się z własnem przekonaniem. Cieszy mnie to,

żem się na panu nie omylił; mawiałem zawsze, że pan jesteś moim Bossuetem, on zaś tylko Fenelonem. Nędznem jest postępowanie arcybiskupa, który tak rychło się cofnął; snać istotnie rzecz się ma tak, jak przez omyłkę wyrzekł w jednym z listów swych pasterskich: ciało jego jest silne, ale duch słaby. Dumnym zaś jestem z pana, na którego wszyscy katolicy, rozumiejący myśl założyciela religii naszej, spoglądać mogą z głębokiem uwielbieniem.“

W parę dni po odebraniu listu tego, Döllinger wyklęty został przez owego arcybiskupa Scherra, o którym król żartobliwie wspomniał. Na wezwanie, aby odwołał publicznie swe zdanie, wypowiedziane w sprawie dogmatu nieomylności, Döllinger oświadczył: „Jako chrześcianin, jako teolog, jako historyk nie mogę zgodzić się na naukę o nieomylności. Jako chrześcianin dlatego, że nauka ta dąży do restauracyi panowania nad światem całym. Jako teolog dlatego, że cała prawdziwa tradycya kościelna pozostaje z nią w sprzeczności. Jako historyk wiem, że stała dążność do wskrzeszenia władzy świeckiej kosztowała potoki krwi, spustoszyła i zrujnowała kraje. Jako obywatel muszę ją potępić, gdyż wymagając podporządkowania państw i monarchów potędze papiezkiej, rozdmuchuje zarzewie zgubnej walki pomiędzy państwem a kościołem.“

Sędziwy uczony, który po odebraniu wielkiej klątwy papiezkiej został jednym z najpopularninjszych ludzi w Niemczech, z czasem zajmować się począł sprawami społecznemi i politycznemi. W wydanych niedawno wykładach o „Pojednaniu kościołów chrześciańskich“ występuje już nietylko jako teolog i historyk, ale jako krytyk i polityk nowoczesny. W wykładach, które Döllinger wygłosił jako prezes monachijskiej Akademii umiejętności, charakteryzuje on wybitnych uczonych i pisarzy, okazując dokładną znajomość zagadnień nowoczesnych. W wykładzie p. t. „Żydzi w Europie“ występuje przeciwko antysemityzmowi jako historyk. W innym rozbiera początki kwestyi wschodniej. Zawsze zaś pozostaje akademikiem w najlepszem tego słowa znaczeniu.

Z pola starć historycznych przenieść się nam wypada w dziedzinę urojonych. W ostatnim liście nie zdaliśmy sprawy z nowości beletrystycznych; obecnie nagromadziła się pokaźna ilość powieści, nowel i dramatów świeżych, z których wybierzemy co najciekawsze.

Fedor Zobeltitz zdobył sobie wybitne miejsce w rzędzie realistów niemieckich. Nie wpadając w naturalizm, lubujący się w szpetocie, zawsze jednak utwory swe wzorował na życiu. Poprzednie jego powieści „Karadinasa“ i „Das Nessusgewand“ odznaczały się trafną obserwacyą, zdradzały jednak pewien brak samodzielności, niewolnicze naśladowanie techniki pisarskiej autorów francuskich. Najnowsza powieść Zobeltitza „Flittergold“ okazuje,' iż pod tym względem autor się rozwinął; fizyognomia jego nabyła pewnych cech charakterycznych, zindywidualizował się. Opisuje on wyższe sfery towarzyskie, snać na podstawie spostrzeżeń długoletnich. Charaktery i sytuacye, jakie nam okazuje, nie są niemożliwemi, lecz zbyt czarno przez autora skreślone. Wprowadza on nas w świat finansowy Berlina i na tle tem kreśli postacie wojskowych, związanych z tym światem stosunkami towarzyskimi. Miałyżby być typowemi takie figury, jak bankier Kastefeld, pozbawiony wszelkiej czci i godności, lub porucznik von Carbe, który w pogoni za złotem poświęca godność własną i gotów jest zdeptać najświętsze uczucia drugich? Czy istotnie w kołach tych, którym literatura i sztuka do dziś tyle jeszcze zawdzięczają i od których zależne będą, póki kapitalizm istnieje, zapanował materyalizm w najgorszem tego słowa znaczeniu, wykluczający wszelkie popędy idealniejsze? Chociaż idealizm często na poddaszu gości, nie unika on jednak pałaców, w których nieraz na gruncie niezawisłości materyalnej wyrasta czystość charakteru, a z potęgi i wpływu, wspaniałomyślność, współczucie i chęć pomagania. Ci którzy potępiają plutokracyę dlatego, że przywłaszcza sobie zbyt wielką część dóbr doczesnych, spodziewają się zarazem, że wyrównanie stosunków ekonomicznych warstwy uboższe podniesie nietylko materyalnie, ale i moralnie. Złoto psuje, ale bardziej może tych, którzy go nie mają, niżli tych, u których się znajduje*); nie u wszystkich dotknięcie jego rodzi chorobę mamonizmu. Jednolitość kolorytu może być zaletą malowidła, ale dla utworu literackiego, odbijającego pewne warstwy społeczne, bywa fatalną; molekuły społeczne składają się z atomów zła i dobra. Niemniej realistycznie, a raczej realistyczniej charakteryzuje wyższe sfery towarzyskie Helena de Beniczky-Baiza, nie zapominając o pewnych stronach dodatnich, bez których arystokracya byłaby wprost przeciwieństwem tego, co oznacza nazwa jej. Autorka ta, którą rodacy (węgrzy) nazywają węgierską George Sand, a mniej uprzejmi krytycy niemieccy — węgierską Marlittową, nie zasługuje ani na pierwsze, ani na drugie porównanie, gdyż do Sandowej nie dorosła ani siłą charakterystyki, ani bystrością obserwacyi, Marlittowę zaś przerasta zdrową, realistyczną tendencyą. Przedstawiając arystokracyę węgierską (w nowej powieści swej p. t. „Sie ist es!“) okazuje obłudę i komedyanctwo, które cechują *high-life* peszteński zarówno jak paryski, berliński lub londyński; jednak zwłaszcza wysunięcie wpływu i znaczenie temperamentu, nadaje figurom jej pierwiastek sympatyczny. I akcya powieści tej zająć może: jest to historya kobiety, która opuszcza kochanka swego, by u boku człowieka na wyższej pozycyi społecznej zająć stanowisko wydatne w „towarzystwie“; atoli za wiarołomstwo pokutuje nieszczęśliwem życiem, a wreszcie śmiercią, gdyż z całą potęgą wznowiło się w niej uczucie dla dawnego kochanka, który nią pogardza, a ubóstwia kobietę inną, czystą i szlachetną.

Sprawa nieszczęśliwego pożycia małżeńskiego zajęła równocześnie i drugą powieściopisarkę, kryjącą się pod pseudonimem Maurycego Reichenbacha. Jego „Seine Frau“ zapoznaje nas z niedobraną parą małżeńską; kobieta, umysłowo wyżej stojąca, przykutą jest do człowieka, który jej nie pojmuje, krzywdzi i dokucza, a wreszcie odwraca się od niej i zaniedbuje ją zupełnie. Oba charaktery, Gerold i Marta, dobrze są nakreślone, jednak kwestya pożycia ich nie jest dostatecznie wyczerpaną.

Z nowych zbiorków nowelistycznych zasługują na wzmiankę Augusta Silbersteina „Neue Hochlandsgeschichte.“ Autor, który w literaturze z wielkiem powodzeniem uprawia kierunek Defregera i publiczność czytająca zapoznał już z całym szeregiem świeżych i zajmujących postaci górskich, w nowych swych nowelach „Das Seeweiberl“ i „Das Geheimniss der Wilderers,“ opisuje nadto piękną przyrodę alpejską. Pierwsza nowela nie wychodzi po za ramy spokojnego życia rodzinnego i zwykłych stosunków miłosnych, druga zaś jest wysoce dramatyczną. Nie bez talentu kreślone są dwie powiastki Beaulieu'a, wydane pod łącznym tytułem „Leibeigen.“ Tytuł ten wyraża ma potęgę miłości, która kochającego czyni niewolnikiem osoby ubóstwianej. Pierwszy z tych utworów „Ihm gleich“ osnuty jest na motywie nienowym w literaturze nowelistycznej: parze kochanków, o rysach podobnych, wskutek fatalnego zawikłania stosunków, nasuwa się obawa, iż od wspólnych pochodzą rodziców; przypuszczenie to okazuje się jednak mylnem, a kochankowie łączą się. Druga nowelka („Das Kleinod des Passerino“) przedstawia stosunek miłosny szlachcica niemieckiego do kobiety z półświatka włoskiego; charakteryzuje też życie ludu włoskiego widocznie na podstawie obserwacyi. Już treść obu powiastek zdradzi każdemu, mniej więcej obeznanemu z bieżącem piśmiennictwem niemieckiem, że autor naśladuje Pawła Heysego. Wpływ Heysego uwydatnia się w formie opowiadania. Jednak Beaulieu, którego talent nowelistyczny jest widocznym, niezawodnie z czasem wyzwoli się z maniery, która u Heysego już nie jest oryginalną, a w każdym razie przestarzałą.

Z nowości dramatycznych wybierzemy naprzód tragedyę szweda Augusta Strindberga, „Ojciec,“ która pojawiła się właśnie w tłomaczeniu niemieckiem. W założeniu i metodzie literackiej naśladująca Ibsena, uwydatnia ona, na jak wązkiej granicy pomiędzy tezą dramatyczną a talmudycznem mędrkowaniem poruszają się utwory Ibsena i jak lekkie zboczenie z tej granicy spycha takie utwory w przepaść niedorzeczności. Służący pewnego rotmistrza nawiązał stosunek miłosny z pokojówką; uwiódłszy ją, nie poczuwa się do obowiązku poślubienia jej, gdyż mężczyzna nigdy wiedzieć nie może, czy jest ojcem dziecka. Wie to tylko kobieta. Myśl ta jest podstawą całej tragedyi. Rotmistrz zgodził się na owo usprawiedliwienie, lecz wnet doznaje zemsty rodu kobiecego. Żona jego walczy z nim o władzę w domu i o wychowanie córki; stosunek małżonków jest tu stosunkiem wrogów śmiertelnych. Energiczna żona zaprasza psychiatrę, który skonstatować ma obłąkanie rotmistrza. Zamiar ten zrazu nie udaje się; pani rotmistrzowa zaczyna więc rozdrażniać małżonka twierdzeniem, że córka jej, być może, wcale nie jest dzieckiem jego. Ona jest matką jej, a kto ojcem, o tem ona jedna wiedzieć może. To już lepiej skutkuje: rotmistrz szaleje prawie pod wpływem rozbudzonych wątpliwości, a kiedy w napadzie gniewu ciska lampą za żoną, oznaki obłąkania są uznane za niewątpliwe; wiążą tedy biednego rotmistrza, aczkolwiek umysł jego bynajmniej nie jest nadwyrężonym. Tak umiera ojciec „jej dziecka,“ wypowiedziawszy następującą głęboką sentencyę: „Mężczyzna nie ma dziecka, tylko kobieta i dlatego przyszłość do niej należy, skoro umieramy bezdzietnie.“ Wdowa zaś ściska w wzruszeniu córkę, która teraz istotnie jest wyłącznie „jej dzieckiem.“ Trudno pojąć, dlaczego Emil Zola francuskie tłomaczenie tragedyi tej zaopatrzył listem polecającym; zaznaczył w nim wprawdzie, że figury, występujące w utworze Strindberga, są istotami bez krwi i kości, zresztą jednak traktuje poważnie utwór, który w oczach każdego nieuprzedzonego stanowi tylko mimowolną parodyę kierunku króla dramaturgów północnych.

Z dramatów niemieckich, wystawionych ostatnimi czasy, zasługuje najbardziej na uwagę poemat Adolfa Wilbrandta „Mistrz z Palmiry,“ grany w Monachium. Jest to pierwszy większy utwór, napisany przez Wilbrandta po ustąpieniu z dyrekcyi Burgtheatru wiedeńskiego i po przeniesieniu się do Rostoku. Poeta, który w okresie poprzednim, pisząc dla sceny wiedeńskiej, okazał, że owładnął zupełnie techniką sceniczną, w „Mistrzu z Palmiry“ wyzwolił się z niej, snując łańcuch obrazów filozoficzno-fantastycznych. Cały poemat wypłynął z pesymistyczno-buddyjskiej sfery myślowej i widocznym jest związek genezy jego z owym rozdziałem „O śmierci i stosunku jej do niespożytelności istoty naszej“ w drugim tomie głównego dzieła Schopenhauera; jeno że Wilbrandt broni optymizmu i że morałem utworu jego jest „die Bejahung des Willens zum Leben.“ Apelles, mistrz z Palmiry, bohater utworu, żąda nieśmiertelności, a uzyskawszy ją, widzi, jak pokolenie za pokoleniem więdnie obok niego. Jemu

*) Teorya bardzo wątpliwa, gdyż rzeczywiście zbyt często złoto jest brudem tych, którzy je w obfitości posiadają. *Red.*

przeciwstawia poeta typ młodej chrześcianki Zoë, jako przedstawicielkę „zaprzeczania woli do życia“; umiera ona za czasów Dyoklecyana jako męczennica. Ale Apelles poznaje na drodze żywota swego cztery jeszcze wcielenia młodej owej kobiety: jako Febe zostaje Zoë kochanką jego, jako Persida małżonką, jako Nimfas wnukiem, jako Zenobia wreszcie — zbawicielką jego, kiedy znękany długiem życiem, sam o śmierć prosi i zgon jako zbawiciela wita. Poemat ten, którego myśli przewodniej nie można odmówić głębokości, nie ma akcyi jednolitej, składa się raczej z pięciu epizodów, które zajęcie widza pochłaniają i rozstrzelają. Imię Wilbrandta zgromadziło na pierwszem przedstawieniu liczną i doborową publiczność; niepodobna jednak, ażeby poemat tego rodzaju utrzymał się na scenie, mającej, bądź co bądź, swoje prawa.

W berlińskim „Deutsches Theater“ przyjęto przychylnie trzyaktowy dramat nieznanego autora p. t. „Die Lüge.“ Dramat ten powstał widocznie pod wpływem północnego apostoła prawdy. Człowiek, który pod przybranem nazwiskiem uwiódł i opuścił dziewczynę, spotyka ją w chwili, kiedy ona ma zostać żoną jego brata. Zrazu pragnie przeszkodzić temu; atoli tradycyjna duma stanu walczy w nim z sumieniem, które się obudziło podczas sceny z dawną kochanką. Starcie to rozwiązuje on, popełniając samobójstwo podczas pojedynku z młodzieńcem, którego bez powodu obraził. Z figur podrzędnych dla nas zasługuje na uwagę polak, scharakteryzowany jako lekkomyślny pijaczyna. Odkąd Blumental w „Probepfeil“ wprowadził na scenę z powodzeniem polskiego artystę, komedyopisarze niemieccy lubią się posługiwać tanim komizmem, tkwiącym w słowiańskiej wymowie języka niemieckiego. Komik Friedmann jest specyalistą w tym względzie; powodzenie jego jednak mało zaszkodzi społeczeństwu polskiemu, jak mało humor austryacki, drwiący z czechów, zaszkodził kulturalnemu rozwojowi i politycznemu spotężnieniu tego narodu.

Na zakończenie anegdotę, za której wiarogodność poręczyć możemy. Na przedstawieniu „Juliusza Cezara“ obecną była młoda para, która zatrzymała się w Berlinie podczas podróży poślubnej. Właśnie Artemidorus dwukrotnie zawołał był z patosem: „Nimm vor des Märzen Idus dich in Acht,“ kiedy młoda żona mimo ciemności panującej w sali, pilnie przeglądać zaczęła afisz teatralny.

— Czego właściwie tam szukasz, duszko — zapytał małżonek — wszak popsujesz sobie oczy?

— Chciałabym wiedzieć — odparła wychowanka wyższej pensyi kobiecej — kto dziś gra Idusa...

Ladawa.

Z ZACHODU.

Monachium, d. 5 marca.

Szał w „grodzie mnichów.“ — *Dzika kaczka* — Ibsena. — On a francuzi wobec odwiecznego motywu.— *Wspomnienia literata*.—Daudeta.— Hołd Gambecie.— Goncourt'owie. — Napoleon I. jako synteza Południa.

Albożtu można pisać? Z ulicy dochodzi wrzawa piekielna, dzikie okrzyki podochoconego tłumu, chóralny pisk dziatwy, fałszywa muzyka tuzina pochodów, ciągnących przez miasto, głuchy pomruk stutysięcznego pospólstwa, swawolne śpiewy malarzów i studentów, poprzebieranych za kobiety i inne... monstra... Jakże tu siedzieć na miejscu? Jakże nie przyjrzeć się raz jeszcze dziwnemu nastrojowi tego dziwnego miasta, które z mnóstwa zwyczajów prozaicznych a niewielu pięknych ukleciło mocą jedynie żywotności i temperamentu— styl, wyraźny, namacalny styl, swój odrębny, charakterystyczny *genre*? Wszystko, co żyje i co martwe, przyłożyło się dzisiaj do uwydatnienia go. Skoro karnawał umiera, pokażmy, że umiera pysznie, bogato, pienisto i szumnie, hałaśliwie i — trywialnie, brutalnie i — malowniczo! Przedewszystkiem niech wygląda barwnie, jak paleta, bo paleta stała się godłem całego grodu i dorzuciła ostatni, najszlachetniejszy rys do ogólnej fizyognomii.

Zgłową, pełną majaczących barw, z uszami ogłuchłemi jeszcze od wrzasku wracasz do domu po ulicznej włóczędze. Na chwilę wszystko, o czem myślisz, wydaje się cząstką owej powszechnej maskarady, każdy przedmiot, wzięty do rąk — kostyumowym przyborem a każda napotkana w mieszkaniu twarz — dalszym ciągiem swawolnych korowodów... Na „naszego brata,“ nieprzywykłego do tej pstrocizny i zgiełku, działają one jak mocne wino, lub podłe... cygaro, bo też i mają w sobie coś z jednego i drugiego.

Ażeby oprzytomnieć zupełnie, trzeba pochylić się nad lekturą tak poważną i głęboką, jak — *Dzika kaczka*, jeden z dwóch ostatnich dramatów Henryka Ibsena. To już nie poetyczna fantazya na temat magnetyzmu morza, jak *Pani z oceanu*, gwałtem ujęta w dyalogi i ułożona na scenę, lecz tragedya rzetelna, rozsnuta w akcyi nieslychanie ciągłej i psychologicznie usprawiedliwionej.

Kto jako tako zna Ibsena, odganie rychło, że osobliwy tytuł tego utworu ma znaczenie symboliczne. Dzika kaczka — to niewidzialna oś, naokoło której obraca się rozwiązanie posępnej zagadki: czy można żyć idealizmem moralnym, nieznoszącym kłamstwa i utajenia, czy można być szczęśliwym i spokojnym z wiedzą o grzechach, jakie popełnili nasi blizcy na nas samych, czy nam dobrze z otwartemi na wszystkie skazy moralne naszego otoczenia—oczyma?

Pewnemu marzycielowi, choremu na gorączkę szerzenia prawości, przyszło do głowy wyleczyć swego przyjaciela z upokarzającego, jak mniema, błędu — wzbudzić w nim podejrzenie, że żona, z którą już lat piętnaście żyje, oddała mu rękę niewolną od zmazy — padła bowiem ofiarą sideł bogatego swego pracodawcy. I oto spokój rodzinny pierzcha bezpowrotnie. Przymusowa spowiedź biednej kobiety potwierdziła obawy, a utopista cieszy się, że spełnił szczytne zadanie, że podłożył prawdziwe podwaliny małżeństwu, które dotąd opierało się na ukrytej zręcznie winie, że spłacił przytem dług sumienia swego, dług dziedziczny — albowiem nie kto inny, jak własny jego ojciec był sprawcą hańby dziewczęcia, ażeby je potem najspokojniej wydać za człowieka zacnego.

Za namową opętańca idealizmu, bohater odtrąca wszelką pomoc, którą w skromnym swym bycie otrzymywał od starego lubieżnika, pomimo iż nie są to darowizny, lecz sposobność zarobku, nastręczona niedołężnemu prawie ojcu. Nie dosyć, zarażony wygórowanem poczuciem honoru chce spłacić wszelkie przysługi, jakich sam z tej strony kiedyś doznał. Pamięć ich parzy go i boli, tak samo jako dzika kaczka, ulubienica jego córki dorastającej, postrzelona sierota z leśnych bagien, również darowana jej przez kogoś z tego samego domu, z którego spłynęła owa, jawna już dziś bezcześć.

Na całą tę wyprawę nieprzytomnego idealizmu patrzy trzeźwy, wolny od złudzeń lekarz. W imię zgody rodziny radby on niefortunnego apostoła wygnać na cztery wiatry, ale ten nie daje się rozłączyć z „zagadnieniem swego życia“ i nawraca dalej i dalej... Korci go, że między małżonkami zostało jeszcze coś niedomówionego— kwestya pochodzenia córki. Ale jej ojciec, raz opanowany przez niepokój, sam, nie szukając, znalazł dowody, że żywił, kochał nad wszystko i pieścił więcej niż własną myśl fotograficznego wynalazku — kogo? Dziecko nie swoje...

Uderzył więc w nieboraka drugi cios druzgocący. A egzaltowany komisarz od moralności i bezwzględnej prawdy jeszcze nie wierzy, że zburzył domowe ognisko i wyświadczył trojgu ludziom przysługę niedźwiedzią.

Do ziemi przybity fotograf czuje, że pod nim ziemia ta się usuwa. Szał rozpaczy napada go — potem gorycz niewysłowiona. Nie ma on całej pewności, że wychowuje dziecię cudze, a już zaczyna wątpić, czy jest przez nie kochanym tak gorąco, tak namiętnie, jak dotąd mówiły pozory. Złorzeczy niewinnej dzieweczynce, odpycha ją szorstko, postanawia z domu uciec i już pakuje swoje manatki; a biedne, wrażliwe, tylko tą miłością dla ojca żyjące dziecko leje gorzkie łzy bólu i żalu...

I tu znowu nieproszony wybawca zbłąkanych wtrąca swoje trzy grosze. Szepce on dzieweczce, ażeby dała jaki silny dowód swego przywiązania do ojca, ażeby poświęciła mu co ma najdroższego, ot, np. zabiła dziką kaczkę, która mu od pewnego czasu stała się nienawistną...

Tym razem posiew idealizmu padł na jeszcze żyźniejszy grunt. Znękane dziecko chwyciło wprawdzie rzuconą sobie myśl, jak deskę zbawienia — ale gdy ojciec wrócił z miasta w tym samym, co przódy, nastroju i znowu ukazał jej surową twarz — strzał rozległ się na strychu i położył trupem nie kaczkę, lecz jej małoletnią opiekunkę... Młoda, nerwowa natura nie wytrzymała swej niedoli.

Usłyszawszy huk, niewczesny apostoł ucieszył się. Był pewien i tak też tłomaczył go fotografowi, że to mała chce go przejednać ciężką ofiarą... Na ten znak dawna miłość dla małej, sztucznie zdławiona, wybuchła na nowo, ale teraz już za późno...

Oto jak się doktrynerya skończyła. Biadają wszyscy — ale doktór nie dzieli skarg na nędzę świata, bo życie, powiada, nie byłoby wcale tak złem, gdyby go nie psuli głupcy, krzewiący pospolite jedno kłamstwo — idealizm. Umysły wyjątkowo może sobie z nim dają radę, ale ludziom przeciętnym złudzeń odbierać nie wolno.

Gdyby ta sentencya wypływała z epilogu jedynie, miałaby wówczas tyle wartości, ile wszelki sens moralny na końcu bajki Lafontaine'a lub Krasickiego. Na chwałę jednak modnego dziś pisarza— tak nie jest. Już w sam charakter bohatera wlał on czynniki, które odrazu skazały lichą naukę idealisty na potępienie; dał mu bowiem instynktów poczciwych, nałogowych daleko więcej, niż zmysłu do słuchania oderwanych, przesadzonych haseł. Głowa nie najtęższa poszła za lichym majakiem, ale serce tkliwe i proste nieraz bezwiednie sarkało nań... Z pierwszem odkryciem mógł się był oswoić; dwu było za wiele! I z drugiem byłby się z czasem zżył — ale niebezpieczna gra, w którą go wciągnięto, już przyniosła swój plon.

Dzika kaczka ciągnie się długo, ale rozwija misternie, spokojnie, siłą samego działania, bez pomocy frazesów wielu i deklamacyi, bez scen wyskokowych, któreby na jednym lub paru momentach skupiały interes. Dowiódł nią Ibsen, już nie pierwszy raz, że tragi-komedyę małżeństwa można traktować poważnie, stawiać ją na tle szerszych zagadnień psychologii i etyki, bez budoarowego aparatu francuzów, efektów niewiary i skandalu.

Tylko tą drogą idea dojdzie do czegoś... Zużyty, wyszarzany sakrament, jeśli ma na sobie dźwigać i nadal gmach społeczny, musi przecież uledz reformie. Dramat paryski zaś sprawę zagważdża, zabagnia, stawia najśmielsze kolizye po to tylko, ażeby je rozwiązać w duchu prawowiernym, zgodnie z dawnym mieszczańskim kanonem cnoty. Napiętrzył stosy wiarołomstw, unu-

rzał się cały w zgorszeniu i zepsuciu, odbił w sobie dosyć wiernie te zamachy, i to przesilenie, jakich dziś doświadcza małżeństwo i stosunek płci po płci — ale idei nie posunął ani na jotę. Cudem nad cudami — świętość zawsze zwycięża. Jej staje się zawsze zadosyć. O kołowacizno ludzka!..

Kochajmy francuzów na wszystkich innych polach, byle nie na tem. Jak, np. pysznie charakteryzuje Daudet! Jego drobiazgi z różnych sfer i różnych czasów, w formie osobistych wspomnień podane — to niekiedy istne perełki. W *Souvenirs d'un homme de lettres* — o nich bowiem mowa— nie brak kruszyn błahych — i przelotnych, że aż strach; dwu lub trzy-stronnicowe portreciki aktorów żyją w pamięci nie dłużej, jak dwie lub trzy chwile, ale jaka doskonała jest sylwetka jego przyjaciół o trwalszej sławie!

O Gambecie mówi Daudet z prawdziwym entuzyazmem. W obliczu słynnego trybuna sceptycyzmu lubi dopatrywać się rysów płaskich, niepewnych często. Tu wygląda on inaczej; płomienny jak wulkan, żądny wiedzy, wykształcony, oczytany, koleżeński, naturalny, rozmiłowany wbrew pozorom w literaturze i sztuce — jeszcze raz budzi w nas uśpioną oddawna myśl, że... dziwnem jest to szczęście, które i jego usunęło z drogi żelaznemu tryumfatorowi Germanii...

Prawdziwym czarem tchnie „Lektura u Edmunda Goncourt'a." Szkic to nienowy i nieświeży na ogół, jeżeli zważyć, ile już pisało się o zagadkowych tych bliźniakach w twórczości i zagranicą i nawet u nas. Lecz autor *Safony* świeżem swem wonnem piórem wszystko odnowić potrafi a przytem zwrócił on uwagę szczególną na ten właśnie, jedyny w swym rodzaju problemat bliźniactwa. Okazuje się, że tych braci łączyły węzły tak silne, tak liczne, iż zaczynamy prawie bać się o prawdopodobieństwo... Nietylko że się kochali miłością, która istotnie granic nie miała, że wobec niej ambicyi ślad najdrobniejszy nie zostawał, że, jak zresztą wiadomo, pracowali i komponowali razem, lecz że myśli ich biegły całkiem równolegle. Oto wracają z wycieczki zamiejskiej; każdy uzbierał paczkę spostrzeżeń i uwag, barwnych i żywych, jak kwiaty; biorą się do spisywania ich, ażeby potem złączyć w jedno i wzajem się dopełnić. A tymczasem — tak bywało nie rzadko — obu rękopisy są do siebie całkiem podobne — różnica tylko w drobiazgach i szczegółkach.

Daudet wzmiankuje o jednym ciekawym pomyśle, dotąd niewyzyskanym, ale długo pieszczonym. Mówiąc o powstaniu *Numy Roumestana* (któremu wszelkiego pokrewieństwa z Gambettą zaprzecza) potrąca o innego południowca — Napoleona I. W jednym z zeszytów, gdzie swego czasu robił notaki, odnalazł taki temat historyczny, *Napoleon człowiek Południa— wyrazić w nim syntezę całej rasy.* Może w tem uogólnieniu ryzykownem jest dużo czułostkowej słabości dla Prowancyi ojczystej i krajów słońca — ale linie tego śmiałego planu godne są bliższej uwagi, ile że osobistość wielkiego cezara nigdy sfinksem być nie przestanie. Oto one: „Chciałem wytłomaczyć duszę tego człowieka jednem prostem słowem: *Le Midi*, o którem nie pomyślała cała nauka Taine'a. Południe, żądne okazałości, klasyczne, teatralne, chciwe przedstawień i kostiumów, estrad, draperyj i fanfary... Południe familijne i lubiące tradycye, któremu Wschód wręczył przywiązanie do szczepu i rodu... pełne pogardy dla kobiet, co mu nie przeszkadza być namiętnem i lubieżnem aż do delirium... Południe, podstępne, kocie, ze swą wymową zapalną, świetlaną, ale bezbarwną, bo barwę ma tylko Północ — ze swymi wybuchami gniewu, krótkimi i strasznymi... zawsze trochę udanymi, nawet gdy są szczere — wpadającymi w tragedye, to w komedye — istne burze morza Śródziemnego z górami piany na spokojnej wodzie... Południe zabobonne i bałwochwalcze, niepomne Boga w swem życiu Salamandry, ale odnajdujące swe modlitwy dziecinne, ilekroć mu zagrozi niedola lub choroba. (To—Napoleon, gdy przy zachodzie słońca, klęcząc, modli się na pokładzie *Northumberlandu* i słucha dwa razy tygodniowo mszy w sali jadalnej na wyspie św. Heleny). Wreszcie i nadewszystko — wielki rys znamienny rasy: wyobraźnia, której żaden człowiek czynu nie posiada w takich rozmiarach (Egipt, Rosya, mrzonka o podbiciu Indyj Wschodnich..."

Szkoda, bądź co bądź, że Daudet pomysłu tego nie wykonał. Oryginalne studyum historyczne warte, jak on sam gdzieś powiada, więcej niż niejeden romans, nawet... jego własny.

Cezary Jellenta.

T E A T R.

L. Halévy, H. Cremieux i P. Decourcelle: *Ojciec Konstanty*, komedya w 3 aktach

W pewnym z naszych kościołów zauważyłem sporą garść kobiet wiekowych, ubranych czarno, zaopatrzonych w długie, posępne welony, w olbrzymie, grube książki modlitewne, w różańce i krzyże. Miny ich były grobowe, powieki—ustawicznie na dół spuszczone, dłonie przebierały paciorki różańcowe, wargi szeptały wyrazy pacierza. A mimo to wszystko uważne oko widza odkrywało po chwili w tych postaciach rysy charakterystyczne, które świadczyły o wręcz odmiennej przeszłości. Przelotne spojrzenia, niekiedy rzucane z ukosa, ręce pełne, białe i wypieszczone, jakiś ruch mimowolny, a na takie pobożnisie zbyt swobodny, świadczyły, że wszystko to jest jedynie maską przybraną i starannie zachowywaną. Liczne zmarszczki w kątach oczów i koło ust, tak właściwe przeżytym hulakom, rozpustnikom, alkoholistom, mówiły dość wyraźnie, że wargi owych kobiet dawniej często dotykały kielichów szampana, oczy bywały świadkiem scen nader wesołych, skronie gorzały od żywo tętniącej i rozpalonej krwi. Stary wiercipięta warszawski potwierdził moje spostrzeżenia.

— Widzisz mój drogi — objaśniał mię z nieco szyderczym uśmiechem— człowiek, który za młodu nagrzeszy, później czując nadchodzącą śmierć, rozpoczyna targ z niebem. Musiałeś nieraz widzieć hulaków, którzy na starość stali się najzagorzalszymi ultramontanami. Podagra daje im przedsmak piekła; pragną tedy uwolnić się od kary klepaniem pacierzy i obfitem jedzeniem ryb w dni postne. Podobnie postępują i te panie. Skandaliczna kronika Warszawy zna źródło ich majątku, wie, ile i z kim każda nagrzeszyła przed lat dziesiątkami. Dzisiaj pokutują, jedne zupełnie ściśle, drugie zachowując pozory, cichaczem dają upust niewygasłym ogniom lub zakorzenionemu sposobowi życia i używania.

Słowa te żywo stanęły mi w pamięci, gdy po przedstawieniu *Ojca Konstantego* wracałem do domu. Ludwik Halévy, współpracownik Meilhaca w *Pięknej Helenie*, w *Tricoche i Cacolet* i w mnóstwie innych utworów, podkasanych wyżej kolan, jest autorem też naprzód powieści, później komedyi, niezmiernie czystej, białej, przykładnej. Ten sam, którego pióro stworzyło tysiące dwuznaczników, tłustych aż do niestrawności, ustawiło na scenie kilkaset sytuacyj rozkiełznanych, u schyłku swego zawodu poczuwa skruchę, apostołuje w imieniu cnoty i prostoty obyczajów.

Rozwiązania tajemnicy tej przemiany szukajcie powyżej.

P. Halévy chce dostać się do nieba, nałono Abrahama, Izaaka i innych patryarchów. Tylko niebo wyobraża on sobie zupełnie inaczej, aniżeli dewotka, czująca łamanie w kościach przed każdym deszczem. Dla niego niebem jest pałac Akademii, zbawieniem fotel w gronie „nieśmiertelnych" i frak palmami haftowany. Przybrał więc, on, autor sztuk dla łobuzów i wesołych cór Koryntu, poważny i uroczysty wyraz twarzy, wyparł się papy Offenbacha oraz panny Schneider i napisał rzecz dla matron z „Faubourg St. Germain" i ich małoletnich córeczek. Obliczenia jego doprowadziły do celu. Co więcej, znalazł ucznia. Śladami tego talentu średniej miary wnet podążył umysł potężny, samodzielny, śmiały. Emil Zola napisał *Marzenie*, które ma posłużyć za list polecający i zrobić go kolegą księcia d'Aumale.

Przejdźmy do *Ojca Konstantego*. Ta tytułowa postać, ów proboszcz bogobojny i miłosierny nie jest właściwym bohaterem sztuki. Obowiązki te dźwiga jego syn chrzestny, Jan Reynaud, porucznik artyleryi. Pokochał on miss Bettinę Percival, która jest mu wzajemną. Wszystko zatem przedstawia się bardzo dobrze; młodzi kochają się, a zatem ojciec Konstanty może śmiało pobłogosławić młodą parę, Francyi na pożytek. Tak, ale w ten sposób nie byłoby sztuki. Halévy więc radzi sobie, wspaniałomyślnie wyposażając miss Bettinę dwudziestu milionami dolarów. Ta duża suma przestrasza ubogiego Jana; za szlachetnym jest, by ściągnąć na siebie miano łowcy posagowego. Chce zatem odjechać, porzucić wieś rodzinną, ukochanego opiekuna, byle tylko nie uledz słabości. Miss atoli nie daremnie jest amerykanką. Przekonawszy się, że Reynaud kocha ją szczerze i bezinteresownie, wyznaje mu pierwsza swe uczucia, oświadcza się mu sama.

Widzimy, że treść i sposoby jej przeprowadzenia są bardzo zużyte, a przytem i nieprawdopodobne. Widział to autor, a więc przy pomocy dwóch wspólników tynkiem efektów zatarł szramy i plamy. Aby dojść do celu, z góry określonego, bez względu na prawdę, na bohaterkę wybrał amerykankę, czyli kobietę (jak dowodzi tego dużo romansów), pogardzającą konwenansami starej Europy. Bohater musi być wojskowym; przez to bowiem nadarza się sposobność sypania pełną dłonią haseł szowinistycznych, a chwytających za serce każdego francuza. Franków tysiące płyną jak woda i cnota, pobożność widnieje w każdym kroku postaci pierwszoplanowych.

Lecz stara kokotka nie łatwo zapomina przeszłości.

I dziwna rzecz, że Halévy najlepsze środki ratunkowe znalazł w swych dawnych zapasach. Sylwetki pani de Lavardens i Pawła, jej syna są godne satyryka drugiego cesarstwa i zjadliwego przeciwnika bezpłciowych płodów Feuilleta i szkoły powieściopisarskiej *Revue des deux mondes.* Imama i syn do świętości nie roszczą sobie prawa; szczególniej na Pawle znać wpływ operotek i *café chantant.* Lecz za to tryska z nich życie, widnieją krew i kości, których braknie owym lalkom, wykrojonym z tektury.

Artyści nasi grali wybornie. Jedynie p. Tatarkiewicz robił wrażenie kleryka, nie zaś młodego wojskowego. P. Czaki nigdy w życiu zapewne nie widziała młodej obywatelki Stanów Zjednoczonych. Nie mając dobrego wzoru przed oczami, nie mogła roli swej wzbogacić charakterystycznemi cechami. Tak jednak, jak ją pojęła, przeprowadziła zupełnie jednolicie.

Adam Nowicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Pociecha postna. — Brak wysokiego *cis*. — Szał śpiewaczy. — Druga wyprawa polska do Afryki p. Ulanowskiego. — Maskarada na cele czysto naukowe.— Naiwne wyznanie. — Kasa Mianowskiego otwierająca nam drzwi składów starzyzny naukowej. — Upór na upór. — Hippokrates w szacie polskiej. — Sezon p. Ochorowicza. — Suchoty kieszeni. — Pracownia d-ra Bujwida.

Paryski korespondent *Wieku* powiada o świeżo zmarłym Tamberliku, który ongi tak się rozsławił swem wysokiem *cis*, że aż je znienawidził: „Przypominam sobie, jakie *wstrząsające* wrażenie sprawiła ta niesłyszana dotąd nuta, gdy rozległa się po raz pierwszy w sali „Ventadour.“ Przez kilka dni publiczność czuła się formalnie *zgorączkowaną* i wszędzie zadawano sobie tylko pytanie: czy słyszałeś wysokie *cis*? Dzienniki *tylko o tem* pisały. Zużytkowano to nawet na scenie. W teatrze „Variétés“ wystawiono operetkę komiczną p. t. „Wysokie *cis*,“ w której itd. Głowy szał tego rodzaju opanowywa zwykle podczas odpoczynku nóg, a więc w poście. Otóż codzień rano, gdy się obudzę i spojrzę na to chmurne niebo, które rozpięło się nad mojem życiem, szukając na niem jakiejś gwiazdki, dostrzegam jeden jasny punkcik, świecący tą pociechą: niema obecnie w Warszawie śpiewaka, któryby brał wysokie *cis*. Zapewne, nędzny to żywot, w którym taka pociecha ma znaczenie, ale przyznać muszę, że dla mnie ma ona niewątpliwe. Zarazy, klęski, nieszczęścia ogólne, nic nie jest w stanie do tego stopnia pochłonąć u nas (zwłaszcza w poście!) uwagi publicznej, jak wysoka nuta. Pisze o niej prasa, mówią ludzie rozsądni i głupi, dzieci i starzy, a nadewszystko kobiety, straszne bezmyślnym zachwytem! Do kogokolwiek i o czemkolwiek odezwiesz się, każdy zapyta—jak Paryż, zachwycony Tamberlikiem: a słyszałeś pan *cis*? Przypomnijcie sobie tylko pobyt Mierzwińskiego u nas! Tych okropnych dni nigdy nie zapomnę. Zdawało mi się, że albo ja dostałem obłędu i nie pojmuję wielkości podziwu godnej, albo cały świat oszalał. Na tronie fanatycznego kultu zasiadł Huiclipocli z *cis* w gardle, a tłumy padały przed nim, gotowe poświęcić mu na ofiarę rozum, dumę, honor, mienie i cnoty — tak, i cnoty! Że wtedy całkiem nie zamilkła ta część prasy, która w owem nabożeństwie udziału nie przyjęła, że my o czemś innem pisaliśmy i drukowali — to było dziwnem. Zwłaszcza ja znajdowałem się w poważnym kłopocie. Bo muszę wyznać, że męczarnie w wysłuchiwaniu przeróżnych kocich, mysich, żabich, świerszczowych, sowich, wilczych i wołowych głosów, które u nas są wytrwale uprawiane i przy każdej sposobności okazywane, taką zgromadziły we mnie nienawiść w tym względzie, że gdyby moje dziecko oświadczyło mi, że chce oddać się śpiewowi, wiadomość ta przeraziłaby mnie równie, jak odkrycie, że mój syn pragnie uorganizować „drugą wyprawę polską do Afryki“ lub moja córka poślubić pruskiego narodowo-liberała. Ale — jak rzekłem — na szczęście po szalonym karnawale nie mamy w poście wysokiego *cis* a skutkiem tego zmysły nasze są we względnym porządku. P. Myszuga podobno nie bierze tej wysokiej nuty, a zresztą jest domowym, panny Russel pomimo wszelkich środków krytyka nie może „rozgrzać,“ p. Mierzwiński, jedyny, który zdołałby odebrać nam przytomność, krąży zdala od nas po orbitach cudzych, nawet p. Żeleński nie rozpalił swym koncertem uczuć naszych do czerwoności, słowem, nie strząsamy popiołu wielkopostnego żadną artystyczną waryacyą.

Próbował rozdmuchać w nas iskry zapału p. Ulanowski ku swej „wyprawie do Afryki“ (prawdziwe nieszczęście z temi polskiemi wyprawami do Afryki!), ale mu się to nie udało tak dalece, że pomiędzy Hajotami warszawskiemi nie dostrzegam objawu sympatyi na jego korzyść, jak gdyby żadna nie myślała z nim pojechać i donosić nam z drogi o swym za ciasnym szlafroku i chorobie morskiej. Czy na ten chłód wpłynęły słynne rezultaty badania jezior Liba, które się skończyły plantacyami kakao a jak inni twierdzą—gorzelnią w Kamerunie, czy też „złośliwe domysły,“ na które skarży się w *Kuryerze warsz.* nasz Vasco de Gama — nie wiem; ale to pewna, że i w tej wyprawie jest coś niełądnego. Nie potrzeba bowiem wcale uciekać się do „insynuacyj,“ tylko przeczytać ich odparcie przez p. U., ażeby przyjść do wniosku, że druga nasza „ekspedycya“ do Afryki jeszcze gorsza od pierwszej. Powiada on: „Oświadczam, że wszelkie w tym względzie krążące wieści najmniejszej nie mają podstawy, oraz, iż *zawsze pozostaną dla ogółu tajemnicą* nazwiska tych, którzy mi zorganizowanie wyprawy poruczyli, tem bardziej, iż nazwiska te nawet towarzyszom mojej niedalekiej podróży *nie są wiadome*.... Gwarancye, dane mi przez inicyatorów wyprawy, mogą *jedynie* mnie tylko obchodzić, a nigdy ludzi *nieinteresowanych i niepowołanych*.“ Czy p. Ulanowski kpi, czy o drogę pyta? Jak to, nawet uczestnicy wyprawy i jego towarzysze są „ludźmi nieinteresowanymi i niepowołanymi,“ których nie powinno obchodzić, kto ich wysyła do Afryki? Całkiem nieznany w nauce, nieposiadający w niej żadnego kredytu, przemawia jak Humboldt, przedstawiający samą swą osobą dostateczną rękojmię materyalną i umysłową. „Ci wszyscy z towarzyszów moich— pisze on— ktorzy ze mną sporządzili kontrakt, osobiste swoje zabezpieczenie oparli na kredycie, na mojem nazwisku otwartym.“ Kogoż u licha p. U. z sobą bierze? Boć najskromniejszy badacz zapytałby nawet Humboldta o źródło funduszów, a nie dopiero galicyjskiego młodziana, który jest znany małemu kółku z górskich spacerów, a jeszcze tak naiwny, iż cieszy się publicznie z „reklamy,“ jaką mu robią „insynuacye“ i obiecuje na *zawsze* zataić nazwiska „inicyatorów wyprawy,“ przedsięwziętej „w celach czysto naukowych.“ Nie mogę sobie wyobrazić takiej „czystości naukowej!“ Kto dla zbogacenia wiedzy robi dużą ofiarę pieniężną, nie potrzebuje się kryć, chociażby nawet składał ją w ręce tak nieodpowiednie, jak p. Ulanowskiego. Niech więc p. U. sobie przemawia z wysoka o „swojej wyprawie,“ niech lekceważy p. Siemiradzkiego, który za pośrednictwem *Kraju* obstawił ją znaczącymi pytajnikami, a który jako podróżnik i badacz dał się ogółowi zaszczytnie poznać, my w całej tej maskaradzie widzimy co najmniej wielką blagę.

P. Rogoziński kusił ongi Kasę Mianowskiego do udzielenia mu zapomogi na wyprawę afrykańską; występowałem stanowczo przeciw tym zalotom, ale dziś wyznaję, że mylnie uważałem takie zmarnowanie pieniędzy za najgorsze. Bo ostatecznie może p. R. byłby zobaczył jeziora Liba i coś nowego o nich doniósł. Tymczasem użytek, jaki zarząd Kasy robi z jej funduszów, stanowiących wdowi grosz społeczeństwa, byłby szczytem humoru, gdyby nie był szczytem marnotrawstwa. Pomimo uwag prasy, komitet jak raz ugrzązł, tak tkwi uparcie w przekonaniu, że uszczęśliwi nasze społeczeństwo wydaniem przekładów książek, których prawie nikt nie czyta, które obchodzą tylko specyalistów, mogących korzystać z oryginałów lub tłomaczeń obcych. Dzięki temu dostaliśmy jeszcze raz Iliadę, C. Neposa, Kartezyusza, dyalogi Platona, itd. Zwłaszcza p. Struve, członek zarządu, kosztem Kasy daje zajęcie swym uczniom, tłomaczącym stare traktaty filozoficzne. Obecnie pisma donoszą, że ma być po polsku wydany ...Hippokrates. Czy też wy czytelnicy przeczuwaliście, że najpilniejszą potrzebą naszego piśmiennictwa naukowego jest przyswojenie mu dzieła Hippokratesa? A dalej, jeżeli śród 12 milionów polaków jest jeden człowiek, pragnący je poznać, czy — według was — nie umie on po grecku, łacinie, francusku lub niemiecku? Wątpię, ażeby tu były dwa zdania. Jeżeli tedy Kasa zamierza marnować pieniądze, jej pieczy powierzone, na podobne zbytki, to nie pozostaje nam nic innego, jak tylko zamknąć dla niej nasze kieszenie. Niech wyzyskuje prawo niekontrolowanej władzy i rozporządza tem, co posiada, ale każdy jej płatnik, każdy umierający dobroczyńca, który chce dokonać zapisu na cele publiczne, powinien się zastanowić, czy ma ją wspierać. Na stare traktaty filozoficzne i stare księgi lekarskie nie posiadamy pieniędzy, bośmy na to za biedni, bo w literaturze nie usunęliśmy dotąd mnóstwa braków bardzo dokuczliwych. Jest to poprostu śmiechu godnem, ażeby społeczeństwo, niemające atlasu geograficznego, podręczników fizyologii, geologii, mineralogii, historyi filozofii, zawierających ostatnie wyniki wiedzy, wydawało Hippokratesa. Trzeba to widzieć, ażeby uwierzyć!

Odczyty na korzyść Osad rolnych rozpocznie p. Ochorowicz wykładem o hypnotyzmie, poczem — bo taką jest kolej jego pobytu u nas — przystąpi do leczenia rękami i blaszkami wszystkiego, co tylko człowiekowi dolega. A więc nieszczęśliwi, dotknięci rakiem, ślepotą, kulawizną, zanikiem kończyn górnych i dolnych, gruźlicą, wadami serca, kamieniami wątroby, bezpłodnością itd. itd. spieszcie do naszego Hippokratesa, którego pisma za lat 2,000 wyda— jeżeli istnieć będzie — Kasa Mianowskiego. Jednej tylko choroby p. Ochorowicz nie leczy (a nawet ją nieco wzmaga) — suchot kieszeni, które nas najokrutniej dręczą, zwłaszcza po długim i ożywionym karnawale. Jeżeli jeszcze i tę sztukę posiędzie— a dlaczegożby wszechmocny hypnotyzm dokonać tego nie miał — możemy bezpiecznie spoglądać w przyszłość. Uprosimy tylko czarodzieja, ażeby stale śród nas osiadł — a wtedy niech Pandora wysypie na nas całą swą puszkę złych losów, my z jej mściwych zamiarów śmiać się będziemy.

Dotąd pozostaje wątpliwem, czy hypnotyzm leczy wściekliznę, natomiast metoda Pasteura okazała się o tyle skuteczną, że przy szczepieniach stacyi warszawskiej już niema wcale śmiertelności. Ponieważ zaś dr. Bujwid własnymi środkami stacyi tej utrzymywać nie mógł i gotów był ją opuścić, więc Magistrat postanowił dawać mu 2,000 rs. rocznej zapomogi. Należała mu się ona oddawna, bo rzeczywiście tylko dzięki altruistycznym wysiłkom d-ra Bujwida ochronne szczepienia wścieklizny odbywały się u nas bez przerwy i tylko u nas instytucya taka spoczywała na dobrej woli i ofierze jednostki.

P. S. W tej chwili dowiaduję się, że p. Mierzwiński przyjeżdża niezadługo do Warszawy. A więc będziemy mieli wysokie *cis* i jego psychiczne następstwa. Pociecha prysła!

Poseł Prawdy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Towarzystwo ogrodnicze zapowiada, iż wystawa ogrodnicza w r. p. będzie połączona ze zjazdem owocoznawców. Oprócz narad nad sprawami pomologicznemi, członkowie zjazdu zwiedzą ogrody owocowe miejskie i podmiejskie.

Spółka owocarska w ciągu swego kilkumiesięcznego istnienia sprzedała owoców za 12,000 rs.

Obostrzenie. Minister spraw wewnętrznych zatwierdził wysokość wynagrodzenia w sumie 50 rs. za schwytanie starozakonnych, uchylających się od

powinności wojskowej. Wysokość tego wynagrodzenia ma być odtąd stosowaną we wszystkich następnych poborach, aż do nowego rozporządzenia.

Ogólne zebranie głównego Towarzystwa akcyonaryuszów ruskich dróg żelaznych odbędzie się 11 maja r. b. w Petersburgu.

Uniwersytet dorpacki, jak donosi *Grażdanin*, otrzyma wkrótce nazwę „Jurjewskiego."

Słowiańskie Towarzystwo dobroczynności w Petersburgu wydało w ciągu lat 20 na wsparcie dla niezamożnych słowian 76,4870 rs. 60 kop.

Wystawy. Zarząd stadnin rządowych urządza w r. b. dwie wystawy, wyłącznie dla koni włościańskich. Pierwsza odbędzie się w Lublinie 19 maja, druga w osadzie Janów, gub. siedleckiej, 26 września. Na wystawę przyjmowane będą konie 4, 5 i 6 letnie, oraz źrebięta roczne. Konie zaś odznaczone na poprzednich wystawach jedną nagrodą klasy pierwszej lub dwiema drugiej, będą wyłączone. Włościanie, chcący przyjąć udział w wystawie, powinni uzyskać od urzędów gminnych zaświadczenie, że konie urodzone i wychowane zostały u nich. Okazy należy dostarczać w przeddzień otwarcia wystawy.

Wybuch gazów nastąpił w kopalniach węgla w Brynmally koło Wrexham w Walii. Podczas katastrofy 120 robotników znajdowało się pod ziemią; 100 zdołało się uratować, 20 zginęło.

Lampki elektryczne żarowe zastosowano przy robotach w porcie Sunderland. Robotnicy na dokach noszą hełmy, do których przytwierdzona jest lampka z bateryą. Światło równa się 16 świecom i wystarcza zupełnie do pracy, jest tańsze od gazu.

Taryfy. Komitet Towarzystwa rolniczego w Moskwie postanowił starać się u rządu o uregulowanie opłat taryfowych na kolejach żelaznych. Żądania jego następujące: 1) wobec uciążliwości taryf na zboże, zaprowadzonych 13 października 1888 r., należy je zmienić w ten sposób, aby opłata za przewóz produktów rolnych na odległość mniejszą nie była wyższą, niż za przewóz na odległość większą; 2) taryfy powinny być ustanowione na czas dłuższy, niż dotąd i ściśle określony; 3) klasyfikowanie odpowiednio do wartości ładunku, aby np. opłata za przewóz owsa nie była taka sama, jak za przewóz pszenicy.

Zerwanie kontraktu. *Kraj* donosi, iż umowa, zawarta pomiędzy rządem a zarządem drogi żelaznej Terespolskiej, na mocy której administracya linij rządowych Brześć-Chełm i Siedlce-Małkinia była powierzona drodze Terespolskiej, nadal odnowiona nie będzie. Od 1 kwietnia linia Brześć-Chełm ma być wyłączona pod względem administracyjnym do kolei Nadwiślańskich, a na linii Siedlce-Małkinia będzie urządzony zarząd miejscowy na małą skalę.

Nadzór. Opracowywany jest obecnie projekt komitetu nadzoru nad handlem produktami pierwszej potrzeby. Skłania do tego ukazanie się w ostatnich czasach wielkiej ilości fałszowanych produktów żywności, nadzwyczaj szkodliwych. Do składu komitetu mają wejść przedstawiciele różnych ministeryów. Działalność komitetu z początku będzie rozciągnięta nad obiema stolicami, a następnie rozszerzona będzie i na inne miasta Cesarstwa. Zarząd centralny komitetu będzie w Petersburgu przy departamencie medycznym.

Departament lekarski ustanowi przepisy, w jakich mianowicie ilościach minimalnych składy apteczne będą mogły sprzedawać wszelkie środki medyczne. Projekt ten wywołało groźne podobno współzawodnictwo rzeczonych składów z aptekami.

Personel profesorski oraz zarządów dziewięciu istniejących w całem państwie uniwersytetów, składa się z 1,023 osób.

Opłata cła ma być nadal uiszczaną wyłącznie w złocie. Przy sumach niedochodzących 5 rubli może być wnoszona w rublach srebrnych i kredytowych; niedochodzących 1 rubla, w monecie drobnej srebrnej, a niedochodzących 20 kop. — w monecie miedzianej, nie inaczej wszakże, jak w obliczeniu na walutę złotą, przyczem rubel srebrny liczy się za 70 kop. w złocie, a rubel kredytowy lub w monecie zdawkowej — za 65 kop. w złocie. Wyjaśnienie powyższe wydano z powodu wynikających często nieporozumień o wysokości cła przy odbiorze nadsyłanych pocztą pod banderolami próbek towarowych.

Zakopane ma być 10 maja ostatecznie sprzedane przez licytacyę. Stanie do niej spółka, zawiązana przez adw. Borońskiego, która posiada wiele dobrych chęci, ale mało pieniędzy.

Sprawy kolejowe. Z rozporządzenia władzy komunikacyjnej, naczelnicy wydziałowi i oddziałowi przy przedstawianiu kandydatów na posady kolejowe obowiązani są na mocy dowodów wyszczególniać jednocześnie pochodzenie, poddaństwo i stan majątkowy kwalifikującego się do służby kolejowej.

Cło. Niektórzy uczestnicy zjazdu przedstawiciel rybołówstwa czynią starania u rządu o zelżenie cła od blachy zagranicznej, której używają w państwie przemysłowcy do konserwów rybnych.

Francuska biblioteka narodowa w Paryżu na ulicy Richelieu posiada obecnie 1,923,652 tomów. Liczba ta nie obejmuje dzieł w podwójnych egzemplarzach i tych, które są w czytelni publicznej.

Syndykat gorzelniczy. Istniejąca w Królestwie Polskiem spółka gorzelników, z zakładem rektyfikacyjnym w Warszawie, zamyśla o urządzeniu instytucyi gorzelniczej na wzór syndykatu kijowskiego właścicieli cukrowni.

Farmaceuci. Zgodnie z nową ustawą Akademii wojskowo-lekarskiej w Petersburgu, do egzaminów na stopnie: magistra farmacyi, prowizora i pomocnika, przypuszczani będą kandydaci tejże Akademii. Z powodu jednak, iż farmaceuci posiadają świadectwa dojrzałości, na wykłady uczęszczać nie będą.

Odszczepieńcy. W zbiorze praw i postanowień rządowych ogłoszono przepisy co do określenia odpowiedzialności odszczepieńców za odprawianie obrzędów religijnych dla osób wyznania prawosławnego i co do zmiany trybu rozpoznawania przez władze sądowe spraw, uważanych za przestępstwa przeciw religii prawosławnej. Oto ustęp kodeksu: „Odszczepieniec, dopuszczający się opowiadania publicznie swej fałszywej nauki pomiędzy prawosławnymi, nakłaniania i pociągania ich do swej herezyi, lub odprawiania obrzędów religijnych dla wyznawców prawosławia, jakkolwiek czyny te nie spowodowałyby odpadnięcia czyjegokolwiek od prawosławia do odszczepieństwa, ulegnie karom, oznaczonym w art. 187 kodeksu, za przeciągnięcie prawosławnych przez kazania i pisma na inne, chociażby chrześciańskie wyznania, lub też wciągnięcia do sekty kacerskiej. W sprawach co do przestępstw przeciw wierze prawosławnej i instytucyom kościelnym, sędziowie i organy prokuratoryi powinni być wyznania prawosławnego i przysięgli do spraw, ulegających rozpatrzeniu przy ich udziale.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Temu samemu. To samo — tylko jeszcze dziękujemy za to, że próba Pańska jest ostatnią.

L. Artykuł ten byłby dla nas pożądany, gdyby chociaż ogólnie przedstawił wyniki praktyczne kongresów dotychczasowych.

A. Zamieścimy.

A. B. C. 1) Chodziło nam o wyraz „humynów," który jest nowotworem niedobrym; 2) żadne przepisy nie pomogą, tylko uważne czytanie mistrzów; 3) wydamy, ale później — w ogólnym zbiorze; 4) nasz własny egzemplarz zatracono w pożyczce.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Марта 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.